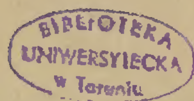
ANTONI OSSENDOWSKI

NIEZNANYM SZLAKIEM



POZNAŃ — 1924
WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA NAKŁADOWA
KAROLA RZEPECKIEGO

NIEZNANYM SZLAKIEM



ANTONI OSSENDOWSKI

NIEZNANYM SZLAKIEM

NOWELE



P O Z N A Ń — 1 9 2 4
WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA NAKŁADOWA
KAROLA RZEPECKIEGO

CZCIONKAMI SPÓŁKI ZJEDNOCZENIA MŁODZIEŻY W POZNANIU.

NIEZNANYM SZLAKIEM.

I.

Było to w r. 1876, wtedy, kiedy na całym obszarze Syberji znajdowali się już rozrzuceni Rodacy, zesłani za powstanie z r. 1863. W niektórych miejscowościach Syberji powstały nawet mniejsze lub większe osady wygnańców. Tak było i w powiecie Minusińskim, na rzece Jenisej.

We wsi Bazunowoj, tuż przy brzegu potężnego i wartkiego Jeniseju, mieszkało kilka rodzin wygnańców polskich, a śród nich rej wodzili i do wielkiego poszanowania nawet pośród rosyjskich chłopów i Tatarów doszli Bohdan Radkiewicz i Ludwik Lisowski. Nauczyli oni ludność rosyjską dobrej uprawy roli do pszenicy, leczyli konie i bydło, dawali rady, jak się bronić od urzędników, którzy zjeżdżali do tej odludnej wioski po łapówki, i bez Radkiewicza i Lisowskiego nikt w całym obwodzie nie odważyłby się na własną rękę działać. Zaszczyty sypały się na nich jak z rogu obfitości. Obaj byli kolejno starostami wioski, honorowymi kozakami, sędziami koczowisk tatarskich. Policja też szanowała i trochę obawiała się Polaków. Obaj

byli doskonałymi fachowcami. Radkiewicz szybko i elegancko szył buty, Lisowski — ubrania męskie. Prawda, że fach ten posiedli oni dopiero w czasie swojej ciężkiej tułaczki po więzieniach i pustkowiach północnej Syberji, gdzie każdy sam sobie radził, jednak doszli do wielkiej wprawy i najwyżsi urzędnicy powiatu wkrótce stali się ich klientami.

Pewnego wieczora Radkiewicz, chmurny, wszedł do chaty Lisowskiego, który z rodziną siadał już do kolacji. Lisowski spojrzał w pociemniałą twarz przyjaciela i rzekł, uśmiechając się:

— Już coś nowego obmyślacie, Bohdanie? Widzę to z waszych oczu... No, mówcie!

Radkiewicz opuścił głowę i mruknął:

— Pomówimy po wieczerzy...

Nic nie chciał jeść i siedział w głębokiej zadumie, nic nie mówiąc i patrząc przez okno na pędzącą rzekę. Nareszcie Lisowski wstał i, narzucając na plecy sukmanę z wełny wielbłądziej, spojrzał na przyjaciela i rzekł:

— Przejdźmy się trochę, to i pomówimy...

Radkiewicz wstał i poszedł do gospodyni.

— Niech pani nie gniewa się, że mruk ze mnie dzisiaj, różne myśli tak latają po głowie, że nic mówić nie mogę, ale buciki na czas będą...

Lisowska uśmiechnęła się i odpowiedziała:

— Dziękuję, a życzę, żeby na dobre poszły myśli pana!

Pocałował ją w rękę i wyszedł.

— No? -- odrazu spytał go Lisowski.

— E — e — odpowiedział Radkiewicz — to nie tak odrazu! Bo to, widzicie, kiełkowało we mnie oddawna i dopiero teraz...

— Co dopiero teraz? — zapytał przyjaciel, zauważywszy, że Radkiewicz zamilkł.

— Teraz postanowiłem nieodwołalnie... wyjechać stąd... nazawsze...

Lisowski zatrzymał się i oczy wlepił w twarz przyjaciela.

— Tam?... — szepnął, wskazując ręką na zachód.

— Tak... do Polski... — odparł Radkiewicz.

— Zginiesz! Zginiesz, jak tamci!

— Może! — wybuchnął Radkiewicz — Może! Ale ja już nie mogę dłużej czekać! Najlepsze lata życia przeżywamy, najwięcej moglibyśmy dla Polski pracować, a my tu — gnijemy, gnuśniejemy z moskalami i tatarami, bez pożytku dla kraju i narodu.

— Tak! — zgodził się Lisowski. — Lecz trudna i daleka droga, a za ucieczkę — kula lub katorga...

— Wiem, alem sobie inaczej obmyślił. Nie złapią mnie!

Mówiąc to, Radkiewicz podszedł do samego brzegu, gdzie w dole z pluskiem fal pędziła wezbrana rzeka, i wskazując na wynurzające się z ciemności białe smugi piany, zaczął mówić gorąco, namiętnie:

— To — Jenisej. Obaj wiemy, że płynie na północ, aż ginie w Lodowatym Oceanie...

Ocean — to już wolność, to już prosta droga do Polski... Postanowiłem wyjechać do Jenisejska, skąd bliżej do morza i gdzie więcej rybaków, może się znajdzie towarzysz... chyba... chyba, że i wy, Lisowski, też...

Lisowskiemu fala gorącej krwi uderzyła do głowy. Zadrżał cały i schwycił przyjaciela za rękę.

— Bohdanie, jabym razem z wami, bez wahania... ale żona, dzieci... co z nimi będzie?... Przecież zamęczą za mnie, pogonią etapami przez śniegi, przez więzienia... Zemrą...

Radkiewicz głęboko westchnął i szepnął:

— Zostańcie z nimi... Pan Bóg by nas może za ich udrękę nie pobłogosławił... Zostańcie, Ludwiku...

Lisowski cicho płakał i urywanym głosem mówił:

— Pierwszy raz się rozstajemy... Tyle razem przeżyliśmy... A teraz, może być, na zawsze...

— Tak! — odpowiedział Radkiewicz — ja z Polski tu nie powrócę...

Więcej już nic nie mówili, powrócili do wsi i rozeszli się w różne strony.

II.

W parę tygodni później Radkiewicz odwiózł sędziemu śledczemu uszyte buty i wyprosił dla siebie pozwolenie na wyjazd na dwa miesiące do Krasnojarska po nowe narzędzia i skóry.

Wkrótce wyjechał ze wsi Bazunowoj tratwą, która płynęła z prądem Jeniseju hen! na północ, gdzie w wyobraźni wygnańca pienił się i wołał do wolności Ocean. Wyjechał i nikt z mieszkańców tej wioski nigdy już więcej swego starosty nie ujrzał. Radkiewicz wpadł jak kamień do wody. Wszelkie poszukiwania władz spełzły na niczem.

A on tymczasem działał i plan swój posuwał dalej i dalej. Tratwą swoją dotarł do Krasnojarska, skąd końmi, mając paszport na inne nazwisko, przyjechał do miasta Jenisejska. Posiadając uciułany uporczywą pracą kapitalik, rozpoczął tu nowy interes. Jenisejsk jest miastem rybaków. Rzeka tu dochodzi do trzech kilometrów szerokości, a olbrzymie jesiotry różnych gatunków, piękne o czerwonych grzbietach i ogonach „tajmienie" mają tu swoją siedzibę.

Radkiewicz bardzo prędko rozpatrzył się na nowem miejscu i wciągnął do swego przedsięwzięcia finlandczyka Franca Lindensztadta, też wygnańca, który był świeżo wypuszczony z więzienia bez prawa jednak wyjazdu z obwodu miasta. Lindensztadt wkrótce zasłynął wśród rybaków jako fachowiec, bo też był nim, całe życie spędziwszy na Bałtyku, trudniąc się połowem ryb. Wyrywano sobie Lindensztadta wzajemnie, aż dopóki Radkiewicz nie położył kresu tej konkurencji, zapraszając Finlandczyka na wspólnika. W ciągu paru miesięcy zorganizował Radkie-

wicz przedsiębiorstwo, na które z podziwem spoglądali rosyjscy rybacy. Lindensztadt zarządzał połowem ryb, Radkiewicz — przyrządzeniem konserw z ryb i handlem. Wszyscy przepowiadali nowym przedsiębiorcom wielkie powodzenie, lecz nikt nie domyślał się, co się działo w głowach nowych rybaków. Do późna w nocy siedzieli w swojej izbie, szeptali do siebie, rozglądali dużą mapę Azji, coś obliczali na niej i wymierzali, robili rysunki wielkiej dwumasztowej łodzi i wszystko to w nocnej ciszy, pokryjomu, szeptem, jak gdyby knuli jakiś straszliwy spisek.

Przez całą jesień i zimę pracowali nowi towarzysze. W jesieni łapali ryby sieciami i specjalnemi wędkami, spuszczając je w zimie na dno rzeki przez otwory w lodzie; wieczorami i aż do późnej nocy uporządkowywali swoje łodzie, szczególnie jedną, największą o dwóch masztach. Wzdłuż burty, po obudwóch bokach łodzi umieścili zalutowane blaszanki od nafty i zabili je szalówką, obszyli nos łodzi grubemi deskami o wielkich sztabach żelaznych, podnieśli burty, postawili nowe mocne maszty i dali nowy takelunek żaglowy. Około steru zbudowali domek z piecykiem i dwoma hamakami. Rosyjscy rybacy podziwiali nowy statek. Radkiewicz z Finlandczykiem objaśnili im, że chcą w lecie spłynąć z prądem bliżej ujścia Jeniseju i spróbować szczęścia na wielkiej wodzie.

Gdy łódź była już zupełnie gotowa, na nowo osmolona i opatrzona, zsunęli ją bliżej do brzegu i czekali na ciepłe czasy. Długa jednak zima syberyjska dręczy ludzi swemi mrozami i wichrami. Radkiewicz z niecierpliwości i niepokoju aż zczerniał, chodził z gorączkowo błyszczącemi oczami i mocno zaciśniętemi ustami. Lindensztadt zmienił się też do niepoznania. Zawsze zimny i spokojny teraz często wzdychał i kurczowo ściskał swoje muskularne, zgrubiałe dłonie, a w jego jasnych niebieskich oczach gnieździły się niepokój i tęsknota.

Wszystko ma swój koniec na ziemi. Przeszła więc zima i Jenisej zerwał potężne więzy lodowe i poniósł je, krusząc i wyrzucając na wyspy i mielizny, do Oceanu.

Polak i dziecię smętnej Finlandji nie zdradzali na zewnątrz swoich uczuć, pracowali nad połowem ryb i codziennie coś dodawali do swej łodzi. Nagromadzili sporo solonej, suszonej ryby, sadła, sucharów, herbaty i soli, w kajucie mieli duże pudło cukru i blaszankę z wódką. Kołysząca się na rzece łódź cieszyła wzrok rybaków. Podczas swoich łowieckich podróży w okolicach Jeniseju sprawdzili szybkość i sprawność łodzi i znali ją teraz jak własną kieszeń. W rękach wprawnych rybaków była posłuszną, jak wóz, ciągnięty przez konie.

— Dopłyniemy... — szepnął raz Lindensztadt, rzucając porozumiewawcze spojrzenie na towarzysza.

Radkiewicz wzrok swój skierował na północ, gdzie się kłębiły szare, ponure chmury, nogą uderzył w pokład łodzi i odparł szeptem:

— Dopłyniemy!

Finlandczykowi oczy radością się rozpromieniły, podszedł do Radkiewicza i w milczeniu rękę jego podniósł do ust. Ten drgnął i schwycił w objęcia swego towarzysza. Było to nieme podpisanie umowy na śmierć i życie. Od tego czasu więcej już o swoim planie nie mówili i czekali na maj, aby zacząć swoją podróż.

III.

Cała osada rybacka wyległa na brzeg Jeniseju, gdy dwumasztowa łódź „Nadzieja" odpływała od miasta. Południowy wiatr szybko porwał łódź i poniósł ją z prądem pięknej rzeki ku północy. Znikł im z oczu Jenisejsk, tylko dłużej od innych budynków widniały kopuły cerkwi i dach więzienia, ale i to nareszcie utonęło w mgle oddalenia.

— Z Bogiem! — zawołał tedy Radkiewicz.

— Z Bogiem! — powtórzył radośnie Finlandczyk i zaczął manewrować żaglami, lawirując pomiędzy mieliznami i wyspami.

Stała się rzecz dziwna. Ci ludzie, którzy po całych nocach marzyli o tej śmiałej, szalonej podróży, szeptem rozmawiali o niej, robili różne projekty — teraz milczeli. Odczuwali cały ogrom

przedsięwzięcia i, chociaż nikt z nich nie myślał o niebezpieczeństwie, jednak głębokie wzruszenie ogarniało ich coraz silniej i zamykało im usta. Spoglądali tylko na siebie przyjaźnie i tkliwie i pracowali na zmianę co sześć godzin.

Tymczasem „Nadzieja“ sunęła dalej i dalej na północ, jak gdyby starała się dogonić odpływający lód lub klucze łabędzi i stada gęsi, lecących na północ, w poszukiwaniu miejsca, gdzie życiu ich potomstwa nie będzie groził człowiek. Wolne i dzikie ptaki leciały tam, dokąd płynęła „Nadzieja“, ku brzegom Oceanu Lodowatego.

Czerwone góry Jenisejskie powoli znikły i na ich miejsce zjawiły się płaskie brzegi, porośnięte gęstym, prawie dziewiczym lasem iglastym. Były to już całkowicie niezaludnione obszary. Na łachach rzecznych czerniły się stada cietrzewi i jarząbków; stada dzikich kaczek przecinały powietrze w różnych kierunkach; na brzeg wychodziły nieraz niedźwiedzie i wilki, ze zdumieniem śledząc za płynącą łodzią. Raz tylko zatrzymali się nasi żeglarze, przy ujściu dość dużej, nieznanej im rzeki. Chcieli nałapać świeżych ryb, gdyż znużyła się jednostajność pożywienia i zresztą woleli konserwowaną rybę przechować na czas żeglugi w Oceanie.

Małą siecią udało im się złapać kilka dużych jesiotrów, tak, że musieli szukać pozostałego w gąszczu leśnym śniegu, aby dłużej przechować ryby. Ruszyli dalej i znowu milczenie panowało

na pokładzie „Nadziei“, a wzrok żeglarzy pędził przed nią ku nieznanej północnej pustyni morskiej.

Rzeka stawała się coraz szerszą i burzliwszą. Już dawno znikły lasy i zewsząd do brzegów cisnęły się torfowiska północnej tundry, z taflami większych i mniejszych jezior i zaroślami trzcin i sitowia. Chmury wodnego ptactwa unosiły się nad tą ziemią, zapomnianą przez naturę, i tu się gnieździć zaczynały. Czasami śród niewysokich krzaków karłowatej brzeziny czołgał się biały północny lis, lub mknął biały zając, wystraszony pluskiem fal.

Pewnego razu, gdy świt przedarł się przez ciężkie chmury i zwały mrocznej nocy, stojący przy sterze Lindenszmidt wydał radosny okrzyk:

— Morze! Morze!

Radkiewicz wybiegł z kajuty i obejrzał okolice. „Nadzieja“ płynęła przez bezbrzeżną przestrzeń spienionej żółtej wody, z której wynurzały się od czasu do czasu porwane z południa drzewa, a nawet belki zburzonych przez powódź zabudowań wieśniaczych i resztki strzaskanych łodzi, przyniesionych zdaleka.

— To jeszcze nie morze! — oznajmił Radkiewicz. — To dopiero zatoka, do której wpada rzeka.

Mówiąc to, zaczerpnął wiaderkiem wodę i spróbował. Woda była ledwie słona.

Radkiewicz przyniósł mapę i zaczął ją rozglądać. Spojrzał na kompas i zadecydował, że

się znajdują niedaleko wysp Sibiriakowa. Oczywiście nazajutrz ujrzeli przed południem czarne pasmo południowej wyspy archipelagu i wkrótce zbliżyli się do niskiego brzegu wyspy. Spostrzegli duże stado fok, które miały tu legowiska, a wcale nie były zatrwożone zbliżeniem się łodzi, gdyż oddawna nie widziały ludzi.

Żeglarze postanowili tu się zatrzymać i przygotować się do morskiej podróży. Ocean zaś już dawał się we znaki, gdyż posyłał tu swoje siwe, szumiące bałwany, które z łoskotem i hukiem zalewały płaskie brzegi wyspy.

Umocowawszy na kotwicach swoją łódź, żeglarze urządzili szałas na brzegu, za pagórkami z piasku i rozpoczęli swoje czynności. Najpierw postanowili cały zapas mąki przerobić na suchary, gdyż mąka nie wytrzymałaby bez szwanku długiej morskiej podróży.

Finlandczyk wpadł na dowcipny pomysł, który był jakimś echem z życia jego mongolskich przodków. Nie spodziewajac się mieć zawsze dość tłuszczu, potrzebnego dla podtrzymania ciepła w organiźmie, postanowił sfabrykować pożywne tłuste suchary. Robił to w ten sposób. Razem z Radkiewiczem zabili kilka fok, zdjęli z nich cały tłuszcz i roztopiwszy go w kotle na ogniu, wrzucali do niego kawałki przyrządzonego ciasta. Gdy ciasto to, przesyciwszy się tłuszczem, zeschło, nabili temi sucharami worki. Było to pożywienie, którego używają koczownicy-pastusi

w Mongolji północnej, nazywając je „borsuk“. W północnych obszarach Karelji, w Finlandji, a nawet Norwegji, w północnych obwodach Ameryki podobne suchary są tu w ogólnem użyciu. Była to dobra strawa, gdyż takie suchary, wrzucone do gorącej wody lub herbaty, tworzyły pożywną tłustą polewkę, zastępując odrazu zupę mięsną i chleb. Żeglarze poczynili tu nowy zapas świeżosolonych ryb i mięsa fok, a tranem i tłuszczem napełnili parę pustych beczułek. Przez cały czas pobytu na wyspach Sibiriakowa żywili się wyłącznie ptactwem wodnem. W gąszczu wysokiej twardej trawy i w krzakach karłowatej nędznej wikliny gnieździły się tysiące dzikich gęsi i kaczek. Ptaki dopuszczały człowieka o kilka kroków do siebie. W ten sposób żeglarze nie potrzebowali używać prochu. Uzbrojeni w wiosła lub długie drągi szerzyli spustoszenie śród ptactwa.

Nareszcie nastąpił dzień odjazdu. Podnieśli żagle i ruszyli z wiatrem, który poniósł łódź na północo-wschód. Zdaleka ujrzeli czarny masyw samotnej wyspy, wokoło której szalały bałwany. Była to wyspa Diksona, za którą rozpoczynała się pustynia Oceanu.

Potężny poryw wiatru niósł „Nadzieję“ na zachód. Znikły bez śladu wszelkie oznaki ziemi. Pozostały tylko duże ciemno-szare mewy, szybujące w mglistym powietrzu lub nagłym ruchem wpadające do morza, by porwać jaką rybę. Po trzech dniach pływania, Radkiewicz, stojący przy

sterze, spostrzegł szeroką strugę wody, wysoko wznoszącą się nad morzem, a wkrótce zobaczył, że jakiś olbrzymi czarny kadłub falowym ruchem wynurzył się z wody i znowu po chwili zapadł, znikając, jak widmo. Zawołał towarzysza. Ten przyjrzał mu się i, uśmiechając się, zawołał:

— To wieloryb! Widziałem je, gdym pływał na norweskim statku w morzu Murmańskiem. Ten też nie jest samotnikiem! Patrz! Jeszcze jednego widzę, a tam drugi,.. trzeci... Dobra nasza!

— Co w tem dobrego, że takie duże bydle łazi po morzu? — zdziwił się Radkiewicz.

— Bo to widzicie, stado wielorybów goni inne stado. Jakie to stado — nie wiem, jednak myślę, że z pewnością są to śledzie. Wiem z opowiadań rybaków, że od brzegów Azji śledzie płyną do brzegów Europy i dochodzą aż do Skandynawji. Będziemy więc mieli towarzyszy podróży, a oni doskonale znają drogi morskie, oprócz tego razem z nami płynąć będzie śpiżarnia, obficie zaopatrzona w świeże ryby.

Od niepamiętnych czasów nieznająca uśmiechu i radości twarz Lindensztadta promieniała od szczęścia i śmiał się bezdźwięcznym śmiechem, nie zwracając żadnej uwagi, że bałwany podrzucały łódź na swoje grzbiety, syczące słoną pianą, lub staczały na dno ruchomych przepaści, aby po chwili znowu ją porwać i wyrzucić do góry...

Przed wieczorem ilość wielorybów zwiększyła się, a morze zaczęło się skrzyć, szczególnie gdy

wynurzył się księżyc i płynnem złotem zalał pustynię Oceanu.

— To płyną stadą ryb! — rzekł Finlandczyk. — Płyną tuż pod powierzchnią morza, która się marszczy od ich ruchu i skrzy się.

Gdy księżyc był już wysoko; żeglarze zauważyli na horyzoncie połyskujące szczyty gór i odczuli powiew mroźnego powietrza.

Płynęli dalej, a „Nadzieja" dzielnie walczyła z bałwanami morskimi i opierała się ich szalonym ciosom. W nocy jednak ciężkie, czarne chmury zasnuły niebo, a gdy rano słońce oświeciło morze, żeglarze z przerażeniem zauważyli, że są otoczeni ze wszystkich stron górami lodowatemi. Jakgdyby jakieś olbrzymie okręty płynęły ze swemi zamarłemi żaglami, nie przeszkadzając bynajmniej ruchowi „Nadziei". Obaj podróżni zrozumieli, że gnane od północy góry trafiały tu w pasmo jakiegoś morskiego prądu i odbywały podróż na południo-zachód, coraz bardziej i szybko topniejąc. Była to też szczęśliwa okoliczność, gdyż ten niewidzialny prąd unosił łódź w kierunku pożądanym — na zachód. Lawirując śród gór i pól lodowych, płynęła łódź, aż Radkiewicz spostrzegł, że lody zaczęły kierować się nagle na północ, najwidoczniej odchodząc od brzegów Azji.

— Niech sobie płyną, dokąd chcą — rzekł, do Lindensztadta — lecz my musimy płynąć wzdłuż brzegu...

Finlandczyk zgodził się i „Nadzieja“ wkrótce wyszła ze strefy pływającego lodu i zaczęła pędzić ku brzegom. W dwa dni później czarne pasmo ziemi wynurzyło się z wody. Od tej chwili żeglarze płynęli w pobliżu tego pasma, czasami tylko zwijając żagle, aby zająć się połowem śledzi, które olbrzymią, długą na kilka kilometrów ławą szły ku zachodowi. Ryb było tak dużo, że górne warstwy ławy płynęły samą powierzchnią, wystawiając z wody pletwy swoich grzbietów.

„Nadzieja“, trzymając się brzegu, szła to na północ, to na wschód, to znowu na południe, obchodząc widocznie jakiś półwysep. Istotnie był to Jałmał, półwysep, rozdzielający ujście rzeki Jenisej od ujścia innej olbrzymiej rzeki — Ob. Brzegi były niezaludnione, morze, pokryte ciemnoszaremi falami, tylko od czasu do czasu ożywiało się stadami goniących śledzie wielorybów; gdzieniegdzie łódź otaczały przeraźliwie krzyczące mewy, walczące ze sobą o porwaną zdobycz.

Długo trwała ta podróż żeglarzy, gdyż lato minęło, przeszła jesień i już ostry mroźny wiatr zaczął ścinać wodę na pokładzie „Nadziei“. Radkiewicz i Lindensztadt zrozumieli, że wkrótce ogarnie ich zima i że trzeba szukać schronienia na ten surowy, straszny czas. Żeglarze nieraz widzieli płynące na południe stada fok, które widocznie uchodziły przed dążącą od bieguna zimą.

— Niema innej rady! — zauważył Finlandczyk. — Płyńmy za fokami, one lepiej od nas znają tą miejscowość.

Łódź płynąć zaczęła w kierunku południowym. Po kilku dniach woda w morzu zżółkła, co było oznaką, że jakaś duża rzeka niosła do Oceanu swoją wodę. Wkrótce łódź zaczęła się uderzać o płynące drzewa, co jeszcze bardziej potwierdziło przekonanie o zbliżeniu się do rzeki.

Była to rzeka Ob, która przecina całą zachodnią Syberję i wpada na zachód od Jałmału do Oceanu Lodowatego. Z wielkim trudem i powolnością posuwała się „Nadzieja" przeciwko wpadającej do morza potężnej strudze wody rzecznej. Nareszcie woda stała się zupełnie słodką i zjawiły się brzegi zatoki. Drobne krzaki, kępy, porośnięte trawą, mech i trzęsawiska pokrywały tu brzegi. Śród krzaków śmigały małe, białe zające i czaiły się białe lisy. Ptactwo wodne już odleciało na południe, do słońca, ciepła i życia. Tylko ostatnie sznury gęsi i klucze białych łabędzi wisiały w powietrzu i ciągnęły na południe, szarpane na kawałki przez gwałtowne podmuchy wiatru.

Długo posuwała się „Nadzieja" przeciwko prądowi Obi na południe, aż nareszcie żeglarze ujrzeli bardzo przytulną zatokę, ze wszystkich stron osłoniętą dość wysokiemi pagórkami, z rosnącym na ich spadkach lasem z karłowatych brzóz i cedrów. Tą też zatokę obrali sobie za schro-

nisko na zimę podbiegunową. Wyciągnęli łódź na brzeg, zdjęli część desek i zbudowali sobie szałas, przysypawszy go mchem i śniegiem.

Pierwsze tygodnie użyli nasi żeglarze na gromadzenie zapasów żywności i opału. Mięso można było przechowywać bez obawy przed zepsuciem się, gdyż coraz ostrzejsze mrozy zaczęły nawiedzać ten niegościnny, ponury kraj. Żeglarze zabili kilkanaście fok, nałapali dużo ryb, które złożyli do wykopanego dołu, przysypanego lodem i śniegiem. Podczas wypraw myśliwskich zrobili bardzo ważne odkrycie, że w zaroślach roiło się od białych kuropatw. Nałapali za pomocą sideł kilkaset sztuk i zdecydowali, że pożywienia starczy na cały zimowy perjod.

Ten zaś straszny czas już nastąpił. Słońce coraz to krócej świeciło, aż zupełnie znikło i nastała noc podbiegunowa, noc pełna strasznych widm, zjawisk, trwogą przejmujących, głosów ponurych, a nieznanych.

Bywały tygodnie, gdy zabłąkani w tej pustyni ludzie nie spali, z przerażeniem spoglądając na niebo, które zdawało się płonąć, roztapiać się, zmieniać w morze jakiegoś tajemniczego ognia z mknącemi po niem różnobarwnemi falami, z wytryskującymi do góry, drgającymi słupami płomieni. Zdumieni i przerażeni spoglądali na to płonące niebo i z pokorą oczekiwali, że zjawi się oblicze Twórcy i z jego wyrazu odczytają wyrok dla siebie... Lecz niebo nagle

gasło i znowu mrok i mróz, ścinający krew w żyłach przygniatały ziemię i żyjące na niej istoty... Wicher, niosąc chmury śniegu i drobne kawałki lodu, wył i szalał dokoła, lecz w schronisku żeglarzy było zacisznie.

W szałasie suche cedrowe gałęzie potrzaskiwały w piecyku, paliła się lampka z tranem, a na ognisku zawsze kipiała woda w kociołku. O ile na morzu towarzysze milczeli, o tyle teraz ciągle rozmawiali, opowiadając o swojem życiu, troskach, tęsknocie i nadziejach na przyszłość...

Śnieg zanosił ich samotny szałas tak, że z trudem odgrzebywali go od wejścia, aby przynieść drzewa do piecyka lub pożywienia z łodzi.

Nagle pewnego poranku Lindensztadt nie mógł się jakoś podnieść z posłania. Całe ciało pałało straszliwą gorączką, a dreszcze wstrząsały co chwila. Z opuchniętych dziąseł sączyła się krew, a każdy ruch lub słowo zmuszały chorego krzyczeć i jęczeć. Ludzie ci przeszli już mękę syberyjską i znali się na chorobach.

— Źle — szeptał Finlandczyk — to szkorbut.

Wiedział o tem i Radkiewicz, gdyż przechodził tą chorobę, gdy go przed laty pędzono na katorgę etapami, karmiąc mięsem lub rybami i nigdy nie dając jarzyn. Przy obliczaniu swojej podróży żeglarze zapomnieli o jednem, a mianowicie, że będą zmuszeni spędzić zimę na północy. Choroba Lindensztadta była pierwszym skutkiem tej fatalnej omyłki.

Od tej chwili do obłędnych nocy podbiegunowych, do wycia wichury i łoskotu odrywających się brył pękającego lodu dołączyły się krzyki i jęki miotającego się w gorączce Lindensztadta. Nic nie mógł jeść, gdyż wszystkie zęby mu się kiwały i wypadać zaczęły, a usta zmieniły się w olbrzymią, wstrętną ranę. Bywały dnie, gdy chory zupełnie do przytomności nie wracał i miotał się, zrywając z siebie okrycie i bieliznę i jęcząc żałośnie. Nareszcie zaczął coś śpiewać ponurym, głuchym głosem. Pieśń była mroczna i groźna, jak skalista i zimna ojczyzna Finlandczyka. Urywał na chwilę śpiew, aby jęknąć przeciągle, z bolesną skargą, i znowu śpiewał, przymykając oczy i ściskając palce rąk.

Zima ciągnęła się długo, tak długo, że Radkiewiczowi wydało się, iż nigdy się już nie skończy. Ta myśl zawładnęła nim całkowicie. Nie mógł spać, a, gdy zasypiał, budził się z przerażeniem i biegł patrzeć, czy nie zjawiły się jakieś oznaki wiosny.

Pewnego wieczoru Lindensztadt przerwał swój śpiew i zawołał Radkiewicza.

— Słuchaj — rzekł, ledwie bełkocząc opuchniętemi wargami, — to już koniec! Już nie dożyję do jutra i nigdy nie zobaczę swojego kraju i swojej rodziny. Nigdy...

Radkiewicz zaczął go uspokajać, ale Finlandczyk oczy przymknął i znowu rozpoczął swoją jednostajną, jak wycie wiatru, ponurą pieśń.

Śpiewał ją do północy, a później umilkł, i tym razem na zawsze.

Radkiewicz obmył i ubrał towarzysza niedoli, owinął go w skóry fok i złożył śród piaszczystych, śniegiem spowitych wydm, aby oddać go ziemi na wiosnę, gdy piasek odmarznie... Pozostał sam i wyglądał wiosny, starannie odpędzając myśl o tem, że zima nigdy się nie skończy, i czując, że rozpacz straszliwa i obłęd chwytają go za serce i mózg.

— Oszaleję... oszaleję! — ściskając sobie głowę, myślał Radkiewicz.

I z pewnością tak by się stało, gdyby nie wiosna, która jakoś odrazu, jednym skokiem wpadła tu od południa... Śnieg zaczął topnieć pomału, zjawiły się jakieś muszki, do szałasu wpełzały drobne, czarne pająki; jakieś małe ptaszki uganiać się zaczęły śród zarośli cedrów, a w kilka dni później wysoko pod obłokami długo krążył pierwszy sznur dzikich gęsi, daremnie szukając wolnej od lodu wody. Odleciał jednak ten pierwszy goniec wiosny z powrotem na południe, ale już wkrótce rzeka wezbrała, podniosła i pokruszyła lód, zalała brzegi, podniosła „Nadzieję“, na którą Radkiewicz ledwie zdążył przenieść cały swój dobytek.

Gdy słońce zaczęło już dobrze ogrzewać ziemię, a wszędzie roiło się od wodnego ptactwa, Radkiewicz z wielkim trudem wykopał mogiłę, złożył w niej ciało towarzysza, zarył, kamieniami

i piaskiem przywalił i postawił krzyż. Na krzyżu ze świeżego cedru Radkiewicz wypalił napis:

„Tu spoczywa Finlandczyk Franc Lindensztadt
43 lat.
Krzyż ten postawił Polak — Bohdan Radkiewicz.“

Oczekując aż zniknął na horyzoncie lodowate góry, które nagromadziły się przy ujściu rzeki, a codzień zmniejszały się, z łoskotem i hukiem rozpadając się pod promieniami słońca i ciepłej wody, podmywającej ich podnóża, Radkiewicz oporządzał łódź, a wieczorami chodził na grób towarzysza.

W pewnej chwili straszliwa tęsknota opanowała myślami samotnika, tęsknota i rozpacz.

— Przecież samotny, w pojedynkę nie dopłynę? — zapytał samego siebie; a oczy zamglone zwracał w stronę krzyża. — Nie dopłynę?...

Nikt mu nie odpowiadał, więc rozpacz sączyła dalej i głębiej swój jad do duszy samotnego człowieka.

— Poco walczyć, poco dalej się męczyć i troskać? — pytał siebie Radkiewicz. — Czy dziś, czy jutro śmierć — żadnej niema w tem różnicy. Mam karabin i naboje... Jedna chwila i — koniec...

Już podniósł się i poszedł po karabin, aż nagle przed jego oczami rozstąpił się zmrok wieczorny i ciemne chmury na horyzoncie; ujrzał „Nadzieję“, która rozpuściwszy i wydąwszy swoje żagle pruła wodę morza, sunąc na zachód; ujrzał

Radkiewicz samego siebie przy sterze, a w oddali jakieś połyski, jakieś drogie, ukochane widma, postaci i twarze; uszu jego doszły odgłosy znajomej, swojskiej mowy, echa piosnki rzewnej, dzwony kościołów i cichy szmer żyta.

— Tam, tam, tylko tam żyć lub umierać! — krzyknął i powrócił do mogiły Lindensztadta, długo wpatrywał się w nią, jakgdyby chciał dojrzeć twarz zmarłego i jego zimne, zawsze niebieskie oczy.

— Dopłynę! — szepnął i rękę do nieba wyciągnął.

Zbliżył się do krzyża i nożem zaczął wycinać literę po literze. Nareszcie skończył, odstąpił o krok i odczytał

„Fin nie dopłynął, Polak — dopłynie.“

W parę tygodni potem „Nadzieja“ z jedynym już pasażerem, płynęła po Oceanie, trzymając się samego brzegu i częściej zatrzymując się, gdyż Radkiewicz po kilku bezsennych, uciążliwych dniach morskiej podróży, był zmuszony wypoczywać. Opłynął półwysep Samojedów, przeciął południowy wąski koniec zatoki Karskiej i płynął już w pobliżu północnego brzegu Europy przez morze Karskie i Barentsa. Parę razy widział statki cudzoziemskie, które uprawiały w pobliżu Murmańskiego brzegu połów sztokfiszów i śledzi, a te spotkania szaloną radością napełniały jego serce. Kilkakrotnie doganiały go

łodzie tubylców północnych: ostjaków, samojedów i korełów, wypytywano, dokąd płynie i skąd. Naradziwszy się z mapą, odpowiedział, że jest z Archangielska i płynie do Norwegji. Podziwiano, że był samotny, ale on nie zatrzymywał się i płynął dalej, już nawet nie bardzo dbając o to, czy brzegi są blisko, czy daleko.

Pewnego dnia spotkał odrazu kilka statków i całą flotylę czółen rybackich; dowiedział się, że jest w pobliżu portu norweskiego Wardo. Postanowił zatrzymać się tu, wypocząć i na ludzi się napatrzyć, ich widokiem i głosami się nacieszyć.

Zawinął więc do Wardo, gdzie miał zamiar zabawić dłużej, lecz prawie natychmiast był zawezwany do biura portowego; jakiś urzędnik zaczął go pytać o dokumenta, o flagę i o port, do którego był przypisany jego „okręt". Ponieważ Radkiewicz nie mógł zrozumieć urzędnika, zaproszono jakiegoś Rosjanina, który, dowiedziawszy się, że Radkiewicz jest zbiegiem, zaczął podbudzać przeciwko niemu urzędników norweskich. Po trzeciej wizycie do biura Radkiewicz zrozumiał, że może być aresztowany, więc, powróciwszy na „Nadzieję", podniósł żagle i popłynął, korzystając z tego, że zmrok już zapadł.

Dalsza jego podróż wzdłuż brzegów Skandynawji odbyła się bardzo pomyślnie. Już się nie krył wcale, w portach śmiało oświadczał, że

jest Polakiem, który uciekł tak niezwykłą drogą z Syberji, gdzie go więziono za miłość do ojczyzny i za walkę o jej wolność. To jednało mu serca szlachetnych Norweżczyków, a później Duńczyków. Podejmowano go wszędzie nader gościnnie, dawano ubranie i zapasy pożywienia na drogę, ułatwiano formalności celne i paszportowe, zaopatrywano w listy polecające.

Wszystko się jednak zmieniło, gdy Radkiewicz wypłynął na Bałtyk. Płynął wzdłuż wybrzeży niemieckich i tu w każdym porcie, do którego się zbliżał, spotykały go prześladowania i groźby aresztem.

Szczególnie nastraszono go w Gdańsku, gdzie niemieccy urzędnicy kazali mu pozostać w biurze i czekać na przybycie konsula rosyjskiego z Berlina, który miał jego los rostrzygnąć. Radkiewicz spędził parę godzin w biurze, a potem nieznacznie się wymknął, wpadł na swoją łódź i odpłynął, nie ciekawy znajomości z konsulem rosyjskim. Źle przyjęto go też w Królewcu i nie pozwolono bez paszportu wyjechać do Poznania lub Krakowa. Zimnym tonem radzono mu pozostać w Królewcu do czasu, aż będą zebrane o nim informacje w Rosji. Po tej rozmowie Radkiewicz znowu podniósł żagle „Nadziei“ i ruszył w świat. Zdecydował się płynąć do Rosji, podać się za rybaka, który zgubił swoje papiery, i z Rosji przedostać się do Warszawy, a stąd dalej — zagranicę.

Po kilku dniach przybył do Rewla i siedział cicho, długo nie wychodząc na brzeg, czekając aż baczne oczy policji i władz oswoją się z widokiem „Nadziei“ i nie będzie ona zwracała już na siebie powszechnej uwagi. Po paru dniach jednak był zmuszony wyjść na brzeg. Ledwie uszedł kilka kroków, gdy go dogonił jakiś człowiek w czapce urzędowej i ordynarnemi słowami rozkazał mu iść za sobą. Radkiewicz poszedł i wkrótce okazał się w urzędzie policyjnym.

— Ty — Bohdan Radkiewicz? — krzyknął do niego jakiś urzędnik.

Nieoczekujący tego żeglarz bez namysłu odparł:

— Tak...

— Toś ty uciekł z Syberji i opowiadałeś w Wardo, Bergenie i Kopenhadze, że objechałeś całą Azję Oceanem i teraz przybyłeś tu?

Radkiewicz zrozumiał, że o nim już wszystko tu wiadomo, nie zapierał się. Owszem — szczegółowo opowiadał o swojej podróży, wciąż jeszcze czując radość obcowania z ludźmi. Cały urząd policyjny słuchał Radkiewicza z zainteresowaniem i przejęciem, lecz gdy skończył, starszy urzędnik rzekł:

— Wszystko to jest bardzo zajmujące i zabawne, lecz zakuć go w kajdany i odstawić do Petersburga! Niech już tam sobie z nim radzą!

Tegoż wieczora, dzwoniąc kajdanami, Radkiewicz chodził z kąta w kąt wąskiej celi wię-

ziennej i myślał. Przed oczami jego płynęły obrazy męczeńskiej włóczęgi przez krainę śmierci i zgrozy, jaką była pustynia Północnego Oceanu, z jego zimą straszliwą, nocą bez końca i z pałającem, groźnem niebem, skrywającem oblicze Boga; widział przed sobą zbolałą i zrozpaczoną twarz umierającego Lindensztadta, krzyż nad jego mogiłą; słyszał huk i plusk ciężkich, ołowianych fal Oceanu i na nich, jak drobną drzazgę małą, poczciwą „Nadzieję", od której w tak brutalny sposób oderwali go na zawsze. Myśląc o tem, Radkiewicz czuł się bardzo zdziwiony, że niepowodzenie takiej szalonej i ciężkiej wyprawy i jej tragiczny koniec, o którym świadczyły kajdany i kraty więzienne, wcale go nie wzruszyły. Czuł się spokojny i pewny, że z Rosji się wyrwie i do wolności dojdzie.

W takim nastroju spokojnym i pogodnym spędził Radkiewicz kilka dni w więzieniu w Rewlu. Czuł się doskonale, tylko jeść nic nie mógł i z trudem wstawał zrana z łóżka; pił dużo wody, trawiony jakąś wewnętrzną gorączką.

Przez sen wołał Lindensztadta i Lisowskiego, bełkotał coś o żaglach, sterze i fokach, modlił się i śpiewał.

Nareszcie w otoczeniu żandarmów wpakowano go do wozu i odwieziono do Petersburga. Przez całą podróż gorączka nie porzucała steranego nadludzkim wysiłkiem ciała Radkiewicza, ale był spokojny, pogodny i wesoło rozmawiał

i żartował z żandarmami, zabawiając ich opowiadaniami ze swej podróży. Nawet żandarmi szeptali do siebie, z podziwem kręcąc głowami:

— Takiego bohatera aresztować, zakuć w kajdany i wrzucić do więzienia? No — no!

Dowlekli jednak Radkiewicza do Petersburga, gdzie władze umieściły go w więzieniu, z którego miał być odesłany z powrotem na miejsce wygnania. Gdy o tem usłyszał Radkiewicz, uśmiechnął się szyderczo i głośno oznajmił:

— To — pomyłka, panowie! Ja na Sybir już nie wrócę. Wyjdę na wolność, do Polski powrócę... Tak! Tak!

Wydawał się nieprzytomnym, oczy mu błyszczały, drżały ręce i nogi, a zęby szczękały, wstrząsane dreszczami.

Tegoż samego wieczora do celi Radkiewicza przyszedł lekarz i jakiś starszy pan, ubrany po cywilnemu. Lekarz obejrzał uważnie chorego i powiedział, zwracając się do dozorców więziennych:

— Tyfus... Przenieść do szpitala natychmiast... Stan groźny.

Starszy pan tymczasem szczegółowo jął rozpytywać Radkiewicza o jego ucieczce z Syberji i o jego pełną fantazji, odwagi i uporu podróż, starannie wszystko notując w małej książeczce.

— Czy pan jest z policji czy z sądu? — zapytał go słabym głosem Radkiewicz.

— Jestem literatem i o pańskiej historji napiszę do gazety artykuł, bo jest to przygoda niebywała, a jej zakończenie — zbrodnia!...

Literatowi aż łzy do oczu nabiegły, lecz chory dotknął jego ręki i szepnął:

— Wszystko dobrze! Prędko będę wolny...

W szpitalu Radkiewicza odwiedził jakiś generał, przed którym drżała cała administracja więzienia. Generał rozpytywał się o przygody Radkiewicza podczas jego podróży i, wychodząc, uścisnął mu rękę, życząc prędkiego powrotu do zdrowia. Po odejściu generała Radkiewicz dowiedział się, że był to adjutant cara, który posłał generała aby stwierdzić to, co było napisane w niektórych dziennikach petersburskich o śmiałym polskim żeglarzu. Car, podobno bardzo zaciekawiony niezwykłą Odyseją zbiega syberyjskiego, rozgniewał się mocno, że w Rewlu żandarmi zakuli człowieka, którego czyny zadziwiały i w zachwyt wprawiły Norwegję i Danję. Był to skandal, barbarzyństwo, a carowie nie lubili, gdy o ich państwie Europa miała prawdziwe pojęcie.

Dwa dni miotał się jeszcze w gorączce człowiek, który zwalczył przestrzeń niezmierzoną, zgrozę zimy podbiegunowej, szał Oceanu Lodowatego i największą nędzę, jaka może spotkać ludzi. Teraz w więziennym szpitalu walczył ze śmiercią, a w tej walce ostatniej coraz częściej rozmawiał z Francem Lindensztadtem, prosząc

go, aby na jego mogile nie zapomniał krzyża katolickiego postawić. Nareszcie kiedyś nad ranem zakończył walkę i leżał spokojny, pewny siebie i wolny na zawsze. Dusza jego z pewnością natychmiast odleciała za mury więzienia, gdyż nad duszami Polaków car moskiewski nie miał władzy, a odleciwszy, ta dusza zwolniona pomknęła w stronę Polski — ziemi znanych i nieznanych bohaterów - męczenników i marzycieli najszlachetniejszych.

W kilka godzin po śmierci do kancelarji więziennej przyszedł papier, z rozkazu cara dający Radkiewiczowi amnestję i prawo na wyjazd do Polski.

Lecz odważny żeglarz już dobił do portu największej wolności i ukojenia i łaski cara nie przyjął.

KRZYK URWANY.

(Szkic z podróży).

Nasza „Australja“ krótko stać miała w Wuzungu, — porcie Shanghaï, trzeba więc było spieszyć ze zwiedzeniem miasta.

Robiliśmy wycieczki z doktorem P. i wkrótce przekonaliśmy się, że na poznanie miasta dość i paru godzin.

Europejska dzielnica ze swemi willami, parkami i linjami tramwaju, była zwykłym „settlement'em“, jakich mieliśmy dość w Adenie, Singapoore i Hongkongu; chińska zaś dzielnica Sok-nu-haï, posiadała tak brudne, ohydne i krzywe ulice, roiła się od tłumów dobrze nam znanych chińczyków, — że nie pociągała nas bynajmniej, to też postanowiliśmy powrócić do portu.

Gdyśmy już byli na wybrzeżu, zapchanem przez półnagich, opalonych na słońcu „kuli“, i bronzowych rybaków „ju-men“, pośród stosów towarów, w atmosferze, przesyconej zapachem ryb, owoców, dostarczanych z Japonji i Ameryki, skór, cebuli i oleju bobowego, w wirze krzyków, nawoływań, zgrzytu łańcuchów, łoskotu wind,

wycia syren i gwizdania lokomotywy, — mój towarzysz zawołał:

— Oszaleję! Biegnę na „Australję“!

Zostałem sam jeden i obserwowałem życie portu.

Małe, silne statki ciągnęły na długich sznurach szeregi wielkich kryp chińskich, któremi przewożono aż do Czi-Foo ryby, morską kapustę, trepangów, tran i wielkie, czarne ostrygi — „łozaj“.

Setki drobnych, dziwacznych łodzi rybackich, o wysokich, pomarszczonych w liczne fałdki żaglach, przychodziły z morza i wyrzucały wprost na brzeg stosy ryb, olbrzymich okrągłych krabów, wiązanki wodorostów i wielkie muszle, pokryte warstwą czarnego i cuchnącego mułu.

Pośród hałasu, który unosił się i drgał w powietrzu, nie słychać prawie było gwizdków parowców.

Z daleka na widnokręgu ukazał się ciemny punkt i rósł bardzo szybko.

— Statek! Statek wojenny! — krzyknął ktoś w porcie, i wnet ogromny tłum rzucił się do przystani, gdzie zwykle zatrzymywały się szalupy okrętów wojennych.

Z daleka coraz wyraźniej rysować się zaczynały kontury statku. Miał trzy niskie a grube kominy i trzy maszty.

Już można było dojrzeć działa, które z ciekawością wychylały swe długie, nieruchome szyje.

— Krążownik angielski! — wołano w tłumie. — Krążownik...

Za kwadrans okręt wszedł już do portu, zahuczał ponuro i zgrzytnął łańcuchami kotwicy.

Na pokładzie zaczęli biegać ludzie; odwiązywano i spuszczano szalupy, otwierano wielkie luki od magazynów węgla.

Po chwili biała łódź, z dziesięciu wioślarzami i oficerem przy sterze, była już w przystani, a jakiś majtek wykrzykiwał głośno:

— Paj-Lin! Zawołać Paj-Lina do komendanta!...

Przybiegł siwy, o cienkim warkoczu i prawie czarnej cerze Chińczyk i, uniżenie kłaniając się, bełkotał:

— Depesza jest... Węgiel jest... Robotnicy są! Czy można ładować?...

— Natychmiast zaczynaj! — rozkazał oficer, i łódź, pędzona dziesięciu wiosłami, jak mewa pomknęła przez zatokę.

Wkrótce angielski statek portowy przyciągnął do burty krążownika wielką, czarną krypę z węglem i tłumem robotników.

Zaczęło się ładowanie.

Sznur ludzi z koszami na głowach ciągnął się od krypy, szedł przez schody, prowadzące na pokład wojennego okrętu, wysypywał z koszów do głębokiej czeluści luki suchy węgiel, który, spadając, rozbijał się na kawałki i pył unosił się w postaci czarnej chmury nad białym krążownikiem.

Wziąłem czółno i kazałem się wieźć w stronę statku, gdyż chciałem zbliska widzieć tę gorączkową, prawie konwulsyjną pracę.

Przybyłem w chwili, gdy jakiś gruby marynarz, stojący około luki, okładał pięściami schylonych pod ciężarem ładunku Chińczyków, Hindusów i Malajczyków, nagląc ich do pospiechu. Milcząc otrzymywali razy i milcząc szli z powrotem po nowy ładunek i nowe razy.

Wtem około luki powstało zamieszanie.

Majtek uderzył robotnika, a ten wnet mu odpowiedział okropnym razem, od którego anglik zachwiał się na nogach.

Natychmiast zagwizdały świstawki komandorów i zbiegli się majtkowie.

Nastało groźne i straszne milczenie...

Huknął strzał... Echo długie biegło nad wodą, aż ucichło gdzieś daleko, pochłonięte przez piasczyste wybrzeża za Sok-nu-haï.

Z tłumu wypadł człowiek.

Nie był to Chińczyk...

Był blady, łapał zakrwawionemi wargami powietrze i drżącemi dłońmi chwytał się za pierś.

Naraz zachwiał się, zatoczył, jak pijany, zawadził nogami o zwój sznurów, leżących na pokładzie i runął do wody...

Wysoko wzbiła się do góry zielona woda, mignęła w falach głowa robotnika, znikła na chwilę i znowu się zjawiła...

— Jezus... Mar... rozległ się urwany, a samotny i pełny śmiertelnej trwogi krzyk.

Krew uderzyła mi do głowy.

Ten krzyk wydała pierś Polaka, w której biło, być może, ostatnim tętnem zmęczone, stroskane serce rodaka, rzuconego na ten daleki brzeg na pastwę zmiennego i nielitościwego losu.

Kazałem wiosłować czemprędzej na miejsce wypadku, lecz już nikogo nie znalazłem... nawet ruchliwe fale uspokoiły się i z cichym szmerem lizały stalowe ciało krążownika.

Znowu zabrzmiały krzyki, tupot nóg na pokładzie krypy, łoskot wysypywanego węgla i ciężki oddech kotłów, gotowych do dalszej drogi.

Wieczorem, gdy czerwone i zielone sygnały migały w ciemności nad zatoką, a zdala szumiało miasto głosami tłumów, turkotem kół i dźwiękami orkiestry, stałem na pokładzie „Australji" i, patrząc na wodę, myślałem:

— Ktoś ty był, nieznany rodaku? Jakiż los dziwny a nieubłagany rzucił cię aż tutaj samotnego? Czyś młody był, czy stary? Kochałeś, czy byłeś kochany? Skąd i dokąd dążyłeś?

Nadaremnie czekałem odpowiedzi...

Cicho szemrały fale, uderzając o boki parowca, a dzwon monotonnie wybijał godziny nocnej warty...

WOŁANIE KRWI.

(Szkic z podróży przez Centralną Azję).

Po ciężkim pochodzie przez kraj Urianchajski, gdzie mieliśmy stałe potyczki z bolszewickimi oddziałami, moja niewielka, bo licząca zaledwie ośmnaście ludzi, grupa dotarła nareszcie do południowej części jeziora Kosogoł, czyli Chubsuguł. Tu przy wyjściu z jeziora szalonej, głębokiej rzeki Egingoł, mieściło się około dziesięciu niewielkich domków rosyjskich kolonistów. Była to osada Khatchył, handlowa faktorja, skupująca w Mongolji bydło, wełnę, mięso i skóry i wywożąca te towary na Syberję. Tak było przed wichurą bolszewicką, która do gruntu zmieniła istniejące na Syberji warunki, a więc, gdyśmy przybyli do Khatchyłu, miejscowi koloniści wegetowali, zawiesiwszy wszelkie interesa i oczekując lepszych czasów.

Byliśmy zmordowani i wyczerpani, przejechawszy konno w zimie blizko trzy tysiące kilometrów bez dostatecznie ciepłego ubrania, w ciągłych potyczkach, w ustawicznej walce z głodem, chłodem i różnemi niebezpieczeństwami, a więc byliśmy zmuszeni zatrzymać się tu na dłuższy

popas. Zniewalała nas do tego i ta też okoliczność, że nasze konie były zupełnie zniszczone i osłabione, miały pobite grzbiety i poranione boki, bądź to od siodeł, bądź to od częstych wypadków, gdy staczały się z gór, padały przy przejściu łożysk pełnych kamieni rzek, lub gdy w kniei dziewiczej Urianchaju, przedzierając się przez gąszcze, raniły sobie boki i głowy.

Mieliśmy przed sobą jeszcze prawie pięć tysięcy kilometrów do brzegów Pacyfiku, a nie mając pieniędzy, musieliśmy oszczędzać swoje szkapy, zdobyte na bolszewickich bandytach.'

Wypoczywaliśmy więc, a jednocześnie staraliśmy się zarobić coś, aby nabyć trochę obuwia i bielizny, które doszły do ostatecznej ruiny. Ja codziennie miałem odczyty o Sowieckiej Rosji, skąd przybywałem, lub o swoich obserwacjach i wrażeniach z podróży po Urianchaju; mój towarzysz, agronom p. Jamiołkowski, dawał porady gospodarcze i weterynaryjne, inni znowu towarzysze leczyli ludność osady, naprawiali wozy, strzelby i maszyny rolnicze, szyli ubranie lub buty.

Po dziesięciu dniach już mieliśmy wszystko, co potrzebowaliśmy do dalszej podróży, a chcieliśmy jeszcze zarobić trochę gotówki, lecz próżne były nasze wysiłki.

Stała się rzecz straszna. Od strony Irkucka przerwał się wschodnim brzegiem Kosogoła duży oddział jazdy bolszewickiej, zwabiony bogactwem

miejscowych kolonistów. Podszedł pod sam Khatchył niespostrzeżenie i tylko moja grupa, ponieważ zawsze byliśmy czujni, zdążyła na czas opuścić osadę i forsownym marszem w jedną dobę oddalić się od nieszczęśliwego Khatchyłu o dziewięćdziesiąt kilometrów. Koloniści zaś wpadli w ręce bolszewików, zostali ograbieni, częściowo zamordowani przy obronie swych domów, częściowo wywiezieni do Irkucka, gdzie byli rozstrzelani.

My zaś, odjechawszy jeszcze około pięćdziesiąt kilometrów, dotarliśmy do buddyjskiego klasztoru Mureń-Kure, stojącego na brzegu rzeki Tajrys. Zbliżając się do klasztoru, spotkaliśmy rosyjskiego kupca Teternikowa, który mieszkał w rosyjsko-chińskiej handlowej osadzie przy klasztorze, jak to zawsze bywa w Mongolji, gdzie przy klasztorach powstają osady, zakładane przez chińskich i rosyjskich kupców.

Teternikow zaprosił nas do siebie dla wypoczynku. Bardzo gościnnie i nad wyraz serdecznie podejmowała nas żona Teternikowa, pani Tatjana.

Odrazu poczuliśmy się jak wśród najżyczliwszych przyjaciół. Gospodarze, jak mogli, dogadzali nam, chociaż wiedzieli, że płacić nie możemy, że jesteśmy uciekinierami, że musimy jechać dalej, i że za przyjęcie nas będą ciężko pokutowali w razie przyjścia bolszewików do Mureń-Kure. Nie spostrzegliśmy się, jak wszyst-

kie nasze poniszczone rzeczy naprawiła czyjaś niewidzialna ręka, w tobołach naszych znaleźliśmy wełniane rękawiczki, pończochy, pudełka z igłami i nićmi, blaszanki z solą, kakao i konserwami i dużo drobnych przedmiotów, świadczących, że ofiarodawca czynił to z wielką serdecznością. Na nic się nie zdały nasze protesty. Teternikow i jego żona i słyszeć nie chcieli o zwrocie przez nas tych drogich upominków.

A były to prawdziwie drogie rzeczy. Zrozumieliśmy to później, gdyśmy przechodzili zachodnią część Gobi i wkroczyli do Tybetu. O wtedy nieraz upominki Teternikowych ratowały nas od głodowej śmierci, gdyż koczownicy, wrogo dla cudzoziemców usposobieni, na razie nie chcieli sprzedawać nam baranów ani byków, lecz później nie mogli się oprzeć pokusie, gdyśmy ofiarowywali im igły i nici, które z chwilą bolszewizmu w Rosji i wojny w Mongolji znikły śród tubylców.

Przeżywszy trzy dni w Mureń-Kure, staliśmy się świadkami dramatycznych wypadków.

Bolszewicy od strony Kosogoła, a także z obwodu Selengińskiego wtargnęli do Mongolji i wolno posuwali się na południe. Wszyscy rosyjscy koloniści, rozrzuceni po całym kraju, zaczęli uchodzić przed nimi i gromadzić się z rodzinami i dobytkiem w klasztorze Mureń, jako najbliższem zaludnionem miejscu.

Wkrótce w domach kolonistów i gościnnych jurtach klasztornych tłoczyło się do trzystu uciekinierów. W tem miejscu, poświęconem mądremu a spokojnemu Buddhie, zapanowała ponura trwoga. Bo też i była ku temu przyczyna poważna.

Wypadły głębokie śniegi, mróz dosięgał trzydziestu stopni, dzień w dzień szalał wicher, podnosząc chmury śniegu. Wszystkie ścieżki karawanowe znikły bez śladu. Górskie przejścia stały się niebezpieczne i nie do przezwyciężenia. Mongołowie nie chcieli dawać koni i wielbłądów, obawiali się prowadzić uciekinierów dalej, gdyż, jak twierdzili lamowie - kapłani, „bogowie zimy byli gniewni i czyhali na życie ludzi“.

A do najbliższego, bezpiecznego punktu, mongolskiego miasta Uliasutaj było około czterystu kilometrów! Jak mogli przebyć ten szmat ciężkiej drogi uciekinierzy, wioząc ze sobą kobiety i dzieci?!

Musiałem ze swoją grupą przebyć tę drogę przy tak ciężkich warunkach, lecz nawet my, już oddawna zahartowani i silni ludzie, cierpieliśmy niewymownie od mrozu, śnieżyc i wichru, który szalał na szczytach górskich przejść i w wązkich szczelinach pomiędzy skałami, pośród których wiła się, jak wąż, co chwila znikająca w śniegu ścieżka. Podczas tego przejścia przez grzbiet Tarbagatajski i w dolinie Ederu straciłem dwóch ludzi, którzy zabłądzili i zamarzli.

Gdy ścisk i tłok w małej osadzie przy klasztorze panowały w całej pełni, przybyły władze chińskie i zaczęły nalegać, aby Mongołowie zmusili uciekinierów do porzucenia klasztoru.

Żadne prośby i upomnienia Mongołów i uciekinierów nie pomagały. Z bezwzględną surowoscią przybyli urzędnicy młodej rzeczypospolitej chińskiej, zmusili rosjan, aby ci opuścili gościnne domki osady i klasztoru. Z trudem pozwolono im rozbić namioty śród okolicznych gór, gdzie po paru tygodniach wytropili ich i wymordowali sowieccy bandyci.

Teternikowy jednak, posiłkując się swemi zażyłemi stosunkami z lamami i mongolskimi urzędnikami, potrafili nas obronić. Po wypędzeniu wszystkich uciekinierów, około tygodnia jeszcze spędziliśmy w Mureń-Kure, i chińczycy nic nie mogli przeciw temu uczynić. Przekonani przez Teternikowych Mongołowie oznajmili stanowczo ciemięzcom-chińczykom, że nie wyrzucą nas z obwodu klasztornego, gdyż, jak mówili:

— Są to dobrzy biali ludzie, a śród nich dwóch nie-rosjan, ludzi z ziemi Porando...

W kilka miesięcy później przekonałem się, że imię polskie jest znane w Mongolji — spuściźnie groźnego Dżengiza-Temudżyna i że Polskę nazywają „Porando“, co jest, być może, zepsutem słowem angielskiem „Poland“.

Mieszkaliśmy więc w gościnnym domu naszych przyjaciół, spędzając z nimi całe dnie i pro-

wadząc nieskończenie długie rozmowy na różne tematy. Odrazu zauważyłem, że nasi przyjaciele szczególnie łaknęli rozmów na tematy religijne lub naukowe, czując widoczną potrzebę w obcowaniu z kulturalnymi ludźmi.

Nie mogę nie zaznaczyć tu tej interesującej cechy ludzkiej — szukania zapomnienia się w myślach o rzeczach ideowych, abstrakcyjnych, nie mających nic wspólnego z walką życiową. Obserwowałem to w różnych miejscach za czasów bolszewickich w Rosji, a później podczas mojej podróży przez serce Azji w warunkach nader ciężkich.

Moja grupa składała się z ludzi całkiem różnych poglądów, psychologji i inteligencji, a tymczasem wszyscy mieli jedno i to samo upodobanie. Oto co wieczór, przy ognisku, po herbacie z sucharami, ci zmordowani długim marszem ludzie nigdy nie zabierali się do spoczynku odrazu. Paląc fajki, leżeli około ogniska i zwracali się codziennie do mnie z jedną i tą samą prośbą.

— Profesorze, niech pan opowie o czemś, co życiem nie pachnie...

Były to dziwne, nocne opowiadania przy ognisku, za którym stał ciężki groźny mrok puszczy lub stepu, szalał mróz lub ze złośliwem syczeniem sypała śnieżyca.

Jakich tylko tematów nie poruszałem wtedy! Religja, historja, astronomja, nauki przyrodni-

cze, filozofja, wszystko to zmieniało się, jak w kalejdoskopie...

To samo powtórzyło się i tu — w domu Teternikowych, gdzie po kolacji przy dużym stole do późna opowiadałem cokolwiek; słuchali mnie uważnie już nawykli do tego moi towarzysze, ale rozczulającem było zachowanie się gospodarzy. Zamieniali się w słuch, w jakiś kłębek napiętych nerwów. Z połyskującemi oczami, z zarumienionemi twarzami wpatrywali się we mnie i słuchali, słuchali. Ich nerwowy nastrój udzielał się mnie i — doprawdy, na żadnem z najbardziej odpowiedzialnych moich wystąpień nie mówiłem z większem podnieceniem i starannością, jak w nizkiej izbie domu Teternikowych, gdzieś w północnej Mongolji, około buddyjskiego klasztoru na Tajrysie!

Podczas takich pogadanek nieraz spostrzegałem baczne, niespokojne spojrzenia, rzucane przez gospodarza na twarz żony. Pani Tatjana siedziała zawsze wyprostowana, ze wspaniałemi czarnemi warkoczami, owiniętemi naokoło kształtnej głowy. Na jej twarzy o szlachetnych, ruchliwych rysach i pięknych ciemnych oczach malowała się jakaś trwoga lub troska, nurtująca ją.

Coś było w życiu tych dwojga ludzi, co stanowiło treść i boleść ich życia... Od kogo z dwojga pochodziła ta boleść? Jak się miała skończyć? Jakie ciężkie przechodziła koleje? W jaki sposób torturowała ta boleść nieznana

dusze i serca tych ludzi, rzuconych na bezbrzeżne stepy Środkowej Azji z ich męką, zwątpieniami i, być może, niewyrażonemi, a więc nad wyraz bolesnemi dążeniami?

Odpowiedź na te pytania dostałem bardzo prędko.

Po zwykłej wieczornej pogadance na parę dni przed opuszczeniem Mureń-Kure, udaliśmy się na spoczynek. Moi ludzie stanęli w oficynie na podwórzu, ja zaś z moim towarzyszem, panem Jamiołkowskim, mieszkałem obok pokoju gospodarzy.

Już się zacząłem rozbierać, gdy dobiegł mnie gorący szept Teternikowa. Zdławionym, urywanym głosem, chodząc po pokoju, szeptał:

— Gdy patrzę na ciebie, Tatjano, taką uduchownioną, zasłuchaną, chcę na kolana paść przed tobą i stopy twe całować i modlić się do ciebie... takaś ty piękna, czysta i święta!

— Dmitry, nie potrzeba o tem mówić... — z męką w głosie odezwała się Tatjana.

— Nie mogę, nie mogę! — jął dalej szeptać mąż. — Cała krew we mnie burzy się, płonie dusza, a z dna mego serca podnosi się czarna chmura nienawiści! Rozumiesz — nienawiści? Jak mogłaś ty, czysta i święta, ty taka piękna i wszystko rozumiejąca, oddać swoje cudne serce temu przejezdnemu kupcowi? Jak mogłaś, jak śmiałaś? Widzę na twoich ustach ślady jego

pocałunków, słyszę pod pułapem echa twoich przysiąg i słów pieszczotliwych! O, Tatjano, Tatjano! Jaka męka, jakie przekleństwo!

Głos się urwał, ale doszły do mnie stłumione, ciężkie szlochania Teternikowa.

Długo trwało milczenie. Szlochanie ustało nareszcie. Zapanowała cisza zupełna.

— Mów! Mów! — rozległ się rozkazujący, namiętny szept mężczyzny.

— Już wszystko ci powiedziałam, — smutnym głosem, z głębokim westchnieniem odezwał się kobiecy głos. — Jam nie winna przed tobą, Dymitr! Lubiłam słuchać jego opowiadań o szerokim bożym świecie, lecz nie było między nami nic, nawet słowo o miłości nie było wypowiedziane. On był czysty i młody i nie znał grzechu... Ja ci to mówiłam, przysięgałam na pamięć ojca mego i na miłość do matki. Po co dręczysz siebie i mnie?...

Nie słuchałem dłużej. Narzuciłem na siebie kożuch i wyszedłem na podwórze. Czarne, grudniowe niebo wisiało nisko nad ziemią, a na nim, jak pochodnie, paliły się gwiazdy. Zamyśliłem się nad życiem ludzkiem. Jasną była dla mnie w te chwile smutna prawda, przekleństwo Kainowe, zmuszające ludzi wlec za sobą czarne pasmo męki. Wszędzie, zawsze, gdzie tylko jest człowiek, czaji się przy nim, jak cień nieodstępny, męka duszy jego... I nawet tu, w pustyni pół-

nocnej Chałchi, spotkałem tę znaną nam w miastach rozpustnych, rozpasanych, torturę namiętnej zazdrości, nienawiść w sercu, pałającym miłością, i, być może, dążący już w zmroku buntującej duszy — niesprawiedliwy, krwawy wyrok...

Nazajutrz gospodarz zaprosił mnie obejrzeć jego tabun, który pasł się w górach o kilka kilometrów za klasztorem.

W drodze był milczący, aż wreszcie podjechał do mnie i wybuchnął:

— Pan tak rozumie potrzeby ludzkie i ich dusze! — zawołał. — Ratuj pan nas! Ratuj, gdyż inaczej zginiemy!...

I opowiedział mi zwykłą historję, powiedziałbym banalną, gdyby nie to, że zdarzyła się w tak dziwnych i tajemniczych miejscach, jakiemi są te potworne stepy mongolskie, gdzie, prawie widzialny błąka się ponuro-szkarłatny cień Szatana.

Dymitr powrócił do Mureń po wojnie z Niemcami i zastał Tatjanę bardzo zmienioną. Ucieszyła się na jego widok, otoczyła go zwykłą opieką i ciepłem domowem, lecz wesołość jej znikła. Nocami często wzdychała i płakała pokryjomu, a bladła z dnia na dzień. Od chińskich kupców dowiedział się, że gościł tu u Tatjany przejezdny kupiec z Rosji, spędził kilka dni i odjechał. Podejrzenie i zazdrość ogarnęły Dymitra i coraz bardziej dręczyły go...

— Ratuj nas, ratuj! — błagał, chwytając mnie za rękę.

Co miałem uczynić? Zwykła historja, codzienna, prosta i ordynarna — tak myślałem, lecz naraz stanęły przedemną, jak żywe, piękne, uduchowione oczy tęsknej kobiety i jej mieniąca się od wzruszeń surowa twarz. Obiecałem pomyśleć nad sprawą i poradzić.

Gdy powróciłem do domu, a Dymitr był jeszcze zajęty przy naszych wierzchowcach, Tatjana rzuciła się ku mnie i, kurczowo ściskając ręce, zapytała:

— Mąż panu wszystko opowiedział?

— Tak!

— Wyprzedził mnie, chciałam sama prosić pana o pomoc. Dziś wieczorem mąż musi pojechać do księcia po pieniądze, wtedy ja panu opowiem...

Nastał wieczór. Teternikow odjechał. Pozostaliśmy z Tatjaną we dwoje.

Cichym głosem, spokojnie i przekonywująco opowiadała:

— Jestem córką Szymanowskiego — Polaka, zesłanego na Ałtaj za polityczną sprawę. Pokochał tam Rosjankę i ożenił się z nią. Ojciec był bardzo uczony i mnie do nauki zachęcił, a umiał opowiadać tak porywająco o pięknych rzeczach, a najbardziej o Polsce, którą miłował

płomiennie, religijnie i marzył o powrocie do ojczyzny. Nauczył mnie po polsku, lecz umarł, gdy byłam pięcioletnią dziewczynką. Matka wyszła za innego, a gdy miałam siedmnaście lat, wydano mnie za Dymitra. Jest to bardzo dobry człowiek, prawdziwie mnie kocha, lecz nie rozumie mnie zupełnie, może dlatego, że jest o wiele starszy odemnie i zupełnie nie uczony, a ja byłam w gimnazjum, trochę się uczyłam i czytałam bardzo dużo... Otóż już czekałam na powrót Dymitra z wojny, gdy pewnego wieczoru przyjechał do Mureń-Kure i prosił mnie o gościnność młody, blady człowiek. Przyjęłam go i mieszkał u mnie przez pięć dni, gdyż miał tu interesy. Okazał się Polakiem — zesłańcem z gubernji Irkuckiej. Mieszkał on w siole Mondy i zaczął prowadzić handel z Mongolją. Pierwszego wieczoru dowiedziałam się o tem, a gdy zaczął tęskne opowiadania o ojczyźnie swojej, skąd go porwali żandarmi i sądy, gdy widziałam, jak płonęły mu oczy, drżały usta i bladły lica, — wypłynęły wspomnienia dziecinne, odezwała się krew przodków, i nigdy lepiej i cieplej nie czułam się, jak w jego towarzystwie. To wszystko, panie! A gdy po pięciu dniach odjechał, tęskniłam za nim, za jego głosem, za jego smętnemi lub płomiennemi oczami. Lecz nie była to miłość, panie! Było to coś lepszego i wyższego... A co — tego nie wiem... Dopomóż nam, ratuj nas, inaczej zginiemy oboje! Ja żyć nie mogę

pod podejrzeniem, Dymitr zginie, nie wierząc mi... i trując się swemi myślami. Z każdym dniem przepaść pomiędzy nami staje się głębszą i straszliwszą. Czem się to skończy — nie wiem...

Gdy odeszła, długo myślałem, w jaki sposób muszę działać. A działać musiałem.

Była przedemną kobieta, w której żyłach płynęła i burzyła się nasza polska krew. Czułem, że mówiła szczerą prawdę, świadczyły zresztą o niej śmiałe, gorejące oczy i tęskny, do dna serca przenikający głos...

Myślałem całą noc. Tysiące planów zmieniłem, tysiące słów i dowodów dobierałem i odrzucałem.

W takiej rozterce zastał mnie świt.

Nad rankiem oczekiwano Dymitra z powrotem od sąsiedniego mongolskiego księcia.

Naraz coś mnie tknęło. Zawołałem robotnika i kazałem mu okulbaczyć mego konia. Wskoczyłem na siodło i wyjechałem na drogę, którą miał powracać Teternikow.

Po godzinnej jeździe zobaczyłem go, spuszczającego się ze stromej góry. Jechał mocno zadumany, z głową nisko pochyloną na piersi. Dobry gniady koń, spuściwszy się z góry, pomknął całym pędem w stronę domu.

— Niech pan się zatrzyma! — zawołałem na Dymitra.

Podniósł głowę i drgnął. Zdarł konia, aż ten siadł na tylne nogi, a później zbliżył się do mnie.

— Co się stało na miłość boską? — pytał z trwogą w głosie. — Tatjana...

Uspokoiłem go, i pojechaliśmy razem dalej.

Gdyśmy wyjechali z krętej doliny Tajrysu do kotliny, w której stał klasztor, dziwny widok uderzył mnie.

Złocisto-różowe słońce zalało dziewicze śniegi stepów, przeciętych turkusową wstęgą zamarzniętej rzeki, a na jej brzegu z jakimś niepojętym spokojem wznosiły się wygięte dachy buddyjskich świątyń, czerwone, polerowane i złocone wieże i ściany i białe ofiarne ołtarze — Obo. Nad klasztorem wznosiły się w nieruchomem powietrzu słupy zaróżowionego dymu i wzbijały się aż pod przezroczyste, mieniące się, jak perły obłoczki, płynące niby dumne łabędzie ku tajemniczej północy.

Cisza niezamącona niczem była w naturze, nigdzie nie było śladu żywej istoty, tylko ta dziwna cisza i spokój panowały tu niepodzielnie.

Wstrzymałem swego wierzchowca i położyłem rękę na cuglach Dymitra.

Ktoś niewidzialny podszepnął mi myśl.

— Widzicie ten spokój, rozumiecie tę ciszę, czujecie tę nieśmiertelną trwałość natury? Jest to przejaw bóstwa. W obliczu tego bóstwa przysięgam wam na życie swoje, na swoją duszę, że Tatjana nie zgrzeszyła przed wami!

Dymitr, jak uderzony piorunem, zeskoczył z konia i, porwawszy mnie za rękę, przycisnął się do niej czołem.

Ani słowa nie rzekliśmy do siebie przez całą drogę. Tatjana też o nic więcej nie pytała mnie.

Po dwóch dniach ruszyliśmy w dalszą drogę.

Gdyśmy się pożegnali i część moich ludzi spuszczała się już ze stromego brzegu Tajrysu, podbiegła do mnie Tatjana i, całując mnie po rękach, szepnęła:

— Niech Bóg doprowadzi pana do szczęścia na polskiej ziemi za to, co pan dla nas uczynił!

Odjechaliśmy. Byliśmy wkrótce już o jakie dziesięć do piętnastu kilometrów za klasztorem. Zaczynała się śnieżyca i wiatr wzmagał się. Naraz dopadł nas Teternikow.

Był płomienny i blask bił mu z twarzy.

— Przywiozłem wam beczułkę wódki, bo w drodze to dobrze robi. Bywajcie zdrowi! Z Bogiem!

Uścisnąwszy wszystkim ręce, zbliżył się do mnie i szepnął:

— Uwierzyłem panu, jak Bogu! Tatjana — święta, niewinna! Weź pan ten nóż, który dawno przygotowałem na nią... Rozumie pan?

Porwałem nóż i cisnąłem go daleko do głębokiego wąwozu.

— Niech zginie wraz z męką waszą! — zawołałem. — Niech rdzą się pokryje, niech nikt nie pozna czem był ten kawał żelaza, niech nikt nie wie, w co się zmieniała miłość wasza!...

— Dziękuję do końca życia mego! — szepnął Dymitr i wspiął konia.

Obłok śniegu pogonił za nim, a zamieć po chwili pochłonęła jeźdzca.

ZŁOTA RZEKA.

I.

Tam, gdzie lasami pokryte spadki Wielkiego Chinganu zbliżają się do pięknej doliny rzeki Amur, wpadał od strony chińskiej do rzeki tej niewielki, lecz wartki potok. Chińczycy i Mandżurowie nazywali go Tinza-ho, co znaczyło „złota rzeka“.

Potok ten płynął w ustronnej i odludnej miejscowości, pozbawionej nietylko wiosek mandżurskich, ale nawet samotnych „fan-dzy“, czyli osad, złożonych z jednej lub dwóch chat glinianych, zwykle otoczonych murem z niepalonej cegły.

Wielkich lasów tu nie było, więc koczujący myśliwi: Gold, Sołon lub Manegr nie nawiedzali wąskiej, głęboko schowanej śród rozpadków górskich doliny potoku i nikt nic o nim nie wiedział.

Zupełnie przypadkowo jakiś Kozak-rybak, przepłynąwszy Amur, zobaczył ujście Tinza-ho i zauważył, że woda jej jest mętna i żółta. Ludzie z Amura dobrze wiedzą, co to ma znaczyć. Kozak więc odrazu zrozumiał, że w łożysku tego potoku jacyś ludzie wydobywali piasek i przemywali go, szukając złota. Ponieważ cała rzeczułka była żółta, Kozak skombinował że pra-

cować tu musiała duża gromada ludzi, i że jest tu złoto, gdyż wydobyto już tak dużo piasku i ziemi, któremi cały potok był popsuty i zabarwiony. Zaczął więc posuwać się przeciwko prądowi i wkrótce spostrzegł dachy licznych zabudowań i tłum pracujących ludzi. Zatrzymał się i zaczął się przyglądać, gdy naraz jakieś bardzo potężne ramiona objęły go, podniosły do góry, z rozmachem cisnęły o ziemię i szybko i sprawnie skrępowały mu ręce powrozem.

— No, teraz możesz wstać! — huknął jakiś gruby głos.

Kozak podniósł się z trudem i ujrzał wysokiego, chudego człowieka, od stóp do głowy ubranego w czarną skórzaną kurtę, spodnie, buty i takąż czapkę z dużym daszkiem, nisko na oczy nasuniętym.

— Pocoś tu zawitał, przyjacielu? — spytał nieznajomy.

Kozak zaczął tłómaczyć, co go tu sprowadziło.

— Tak! — mruknął wysoki człowiek. — Rozumiem... Masz dobrego niucha, ale posłuchaj teraz co ci powiem. Nikomu na świecie o tem miejscu nie wolno wiedzieć i nic o nim mówić!.. Masz więc dwie rzeczy do wyboru, przyjacielu. Albo przyłączysz się do nas i będziesz pracował, jak inni, albo natychmiast odejdziesz... Lecz pamiętaj i zanotuj sobie dobrze, że jeżeli komuś przebąkniesz o nas słówko, nic

cię od śmierci nie uratuje, chociażby ciebie miał bronić sam car ze swojemi wojskami! Wybieraj!

Długo namyślał się Kozak, lecz nareszcie odszedł. A gdy już miał wyjść z wąskiej doliny potoku na brzeg Amura, nieznajomy krzyknął mu na pożegnanie:

— Pamiętaj: milczenie lub śmierć!...

Długo ten głos groźny i głuchy dźwięczał w pamięci Kozaka, więc milczał, lecz pewnego dnia po pijanemu opowiedział sąsiadom o Tinzaho. Zaczęto go rozpytywać, a nieostrożny, pijany Kozak wyśpiewał o wszystkiem, co wiedział.

We wsi nazajutrz był wielki ruch. Spuszczano łodzie na rzece i przygotowywano wyprawę. Trzydziestu co najdzielniejszych Kozaków, uzbrojonych w karabiny i szable, pod dowództwem tego, który wykrył „złotą rzekę" wyruszyło na wyprawę. Przepłynęli Amur, a później kilka godzin maszerowali przez krzaki i wysoką trawę w stronę ujścia tajemniczego potoku. Weszli nareszcie w dolinę i zaczęli się w nią zagłębiać. Posuwali się zwartą kupą, bacznie się rozglądając. W oddali już zjawiać się zaczęły zabudowania, lecz naokoło było cicho.

— Prześpią nas! — uśmiechnął sie przywódca. — A temu wysokiemu to już ja sam osobiście wszystkie żebra policzę kolbą! Będzie wiedział, że nie wolno Kozaka ciskać na ziemię, jak worek z mąką.

Zaklął i poprowadził dalej swój oddział. Nagle z krzaków wypadło dwóch Chińczyków. Szlochali i krzyczeli w niebogłosy, wygrażając komuś pięściami.

— Stój! — zawołali kozacy. — Czego wyjecie?

— Chwała Bogu! Chwała Bogu! — ucieszyli się Chińczycy. — Przyszli dobrzy ludzie, uwolnią nas z rąk tych zbójów.

— Jakich zbójów? — pytano, ze wszystkich stron otaczając Chińczyków.

— Jest tu naczelnik, taki wysoki i chudy — objaśniali — silny i zły, jak sam djabeł. Złapał dziś pięćdziesięciu Chińczyków na pracy w szybie, bo to niedziela i nie wolno pracować, i kazał ich obić. Będziemy po zachodzie słońca torturowani, ratujcie nas, ratujcie, dobrzy ludzie!

— Dobra nasza! — zawołał stary kozak. — Weźmiemy Chińczyków, to więcej nas będzie. Wołaj swoich, niech przychodzą!

Chińczycy znikli i w kilka minut potem przyprowadzili cały tłum swoich rodaków, wymachujących drągami, kilofami i siekierami i radośnie witających przybyłych Kozaków.

Zaczęły się narady nad tem, z jakiej strony najwygodniej uderzyć na osadę i rozpytywano, gdzie mieszka wysoki, chudy człowiek, który wzbudził taką nienawiść w nieszczęśliwych skazanych na chłostę Chińczykach. Ci tymczasem zamięszali się w szeregi Kozaków, wprowadzili

nieład, rozbili cały oddział na drobne grupy; niektórzy pod pozorem oglądania broni, trzymali już w ręku kozackie karabiny i szable.

— Naprzód! — zakomenderował przywódca.

— Zaczekaj trochę! — rozległ się nieznajomy głos, groźny i głuchy, i jeden z Chińczyków zerwał z głowy swoją myckę wraz z warkoczem. Zjawiła się krótko strzyżona głowa o orlim nosie, bystrych niebieskich oczach i silnie zaciśniętych wargach.

— Zaczekaj trochę! — powtórzył i krzyknął: — Bierz ich i wiąż!

Cały tłum przebranych i prawdziwych Chińczyków runął na osłupiałych Kozaków. Wszczął się tumult i zgiełk. Buchnęło parę strzałów, rozległo się kilka przeraźliwych krzyków, lecz po chwili wszystko się uciszyło.

— W porządku! — zawołał przebrany za Chińczyka wysoki człowiek, obchodząc szeregi leżących, związanych jak półgęski Kozaków. — Bardzo dobrze...

Przy końcu ostatniego szeregu zatrzymał się i zawołał po polsku:

— Antku! chodź-no tu...

Mały, nad wyraz krępy, już nie młody człowiek zbliżył się do wołającego.

— Co mam zrobić z tą zwierzyną? — zapytał, uśmiechając się złowrogo.

— Wsypiesz każdemu po dwadzieścia pięć kijów i obiecaj trzy razy tyle, jeżeli jeszcze

kiedyś tu zawitać raczą. A z przywódcą sam się rozmówię.

Podszedł do leżącego osobno Kozaka i zaczął mu się uważnie przyglądać.

— Dzień dobry, przyjacielu! — burknął. — Przyszedłeś po śmierć, boś się wygadał. Uczciwie to z twej strony, więc prędko się z tobą tu załatwią. Bądź spokojny...

Podczas, gdy rozlegały się krzyki sumiennie obijanych Kozaków, jakiś Chińczyk, na rozkaz wysokiego człowieka, rozwiązał przywódcę i poprowadził go w stronę krzaków, w których wkrótce znikli obaj. Po chwili powrócił tylko Chińczyk.

II.

Bliżej źródeł Tinza-ho od paru lat stała duża osada, złożona z pięciuset długich szop. Tłumy ludzi kręciły się wszędzie. Jedni majstrowali około domów, przyrządzali strawę w olbrzymich kotłach, znosili mąkę, sól, jarzyny; inni robili cegłę i gliniane rury i zwozili w taczkach do kilku wielkich pieców, przy których pracowali robotnicy, dorzucając na palenisko węgiel kamienny, biorąc go z grubego pokładu, czerniącego się pośród skał. Jednak największa część ludności tej tajemniczej osady pracowała w innem miejscu. O parę kilometrów na wschód od osady zauważyć można było olbrzymią strugę

wody, która z grubej glinianej rury biła w bok wąwozu, wyrywając całe warstwy ziemi i piasku i unosząc to na dół na dno, gdzie były ustawione szerokie rynsztoki, kierujące mętną wodę do przeróżnych maszyn. Tu, za pomocą tych maszyn, zatrzymywano złoto, tak zazdrośnie ukrywane przez naturę w głębi ziemi.

W innych wąwozach ludzie pracowali w szybach lub ortach. Kopali nowe głębokie tunele w spadkach górskich, toczyli ciężkie wózki z ziemią złotodajną i zrzucali ją około maszyn dla przemywania i wydobywania złota i oczyszczania go od ziemi, piasku i drobnego żwiru z łożyska rzeki.

Na terenie tych robót uwijali się dozorcy, dając wskazówki i przyspieszając bieg pracy. Od czasu do czasu niektórzy robotnicy oddalali się od maszyn, unosząc woreczki z żółtej, nie wyrobionej skóry, obwiązane cienkiemi rzemykami, pełne złota, które w pewnym okresie czasu zdejmowano z maszyn i odnoszono na skład. Czasami przy maszynach rozlegał się wesoły okrzyk:

— Fart! Fart!*) — Oznaczało to, iż z pośród kamieni, które niosła ze sobą struga szybko płynącej wody, wyłowiono spory, nieraz ważący po kilka funtów kawał złota. Czasami ten sam okrzyk rozlegał się w szybach, gdy kilof lub rydel pracującego natrafił na duży kawał złota,

*) Szczęście.

które natura złożyła tu przed wiekami i strzegła swego skarbu, aż przyszedł po niego człowiek i wydarł go Matce-ziemi...

Miało to miejsce w roku 1885-ym, gdy na Syberji nie znano jeszcze potęgi wody i sztuki stosowania jej do rozbijania i znoszenia gór oraz przerzucania ich rynsztokiem do maszyn, które zabierają ukryte w nich złoto.

Na Tinza-ho przedsiębiorczy ludzie doszli, widać, do tego sami i dzień po dniu wyrywali z łona ziemi, z piersi gór nowe i nowe kawałki i ziarna złota.

Już słońce zapadać zaczęło za dalekim, wysokim grzbietem Chinganu, gdy rozległo się pojedyńcze uderzenie silnego dzwonu. Ludzie zaczęli wychodzić z szybów, z budynków maszynowych, z kuźni i z warsztatów stolarskich i ślusarskich, podchodzili do rynsztoków ze spuszczoną do nich czystą, źródlaną wodą, myli ręce i twarze i szli w stronę koszar, przed któremi stały już stoły ze strawą i dymiącemi się kubkami herbaty. Zapach świeżego chleba i pieczonego mięsa mile łechtał podniebienie zgłodniałych, spracowanych ludzi.

Jednak mimo znużenia wszystkie twarze były spokojne i pogodne. Nie było słychać kłótni lub ohydnych wymyślań i przekleństw, zwykłych w Rosji. Ludzie spokojnie zasiadali do stołów i, gdy skończyli jedzenie i zabrali się do herbaty, pomiędzy szeregami stołów przechodzić zaczęli dozorcy i wykrzykiwać głośno:

— Dzisiejszy dzień dał jeden pud, trzydzieści trzy funty złota. Rozkaz dzienny na jutro pozostaje bez zmiany. Tylko przyspieszyć roboty, bo mamy mało czasu!...

Z gwarem i śmiechem rozchodził się cały tłum po koszarach na spoczynek nocny. Niewielkie grupki pozostały jeszcze przy stołach i prowadziły cichą pogawędkę, dzieląc się wrażeniami z dnia ubiegłego, lecz gdy dzwon uderzył poraz drugi, wszystko ucichło i znikło po domach. Zgasły migotliwe płomyki lampek olejnych, tylko z cichym szmerem miękkich chińskich trzewików sunęły pomiędzy domami straże, zbrojne w karabiny i rewolwery.

Około północy grupa ludzi zbliżyła się do jednej z szop. Któryś z przybyłych wszedł do ciemnego baraku, zapalił lampkę i zaczął świecić nią w twarz śpiących na pryczach ludzi. Nareszcie nachylił się nad jednym z leżących i trącił go w bok. Śpiący obudził się i zaczął przecierać oczy.

— Kto to? — spytał sennym głosem, przeciągając się.

— Wstawaj, Alberti — brzmiała odpowiedź. — Mam do ciebie ważny interes.

— Nie możesz w dzień powiedzieć? Trzeba koniecznie budzić w nocy? Jestem zmęczony amico! — mówił łamanym rosyjskim językiem Włoch, głośno ziewając. — Czy coś bardzo naglego?

— Bardzo! — odpowiedział przybyły. — Wstawaj i wychodź!

Po chwili Włoch, naciągając na siebie ciepłą chińską kurtę, zjawił się na progu, lecz w tejże chwili czyjeś ręce schwyciły go za gardło, zdusiły krzyk przerażenia i zakneblowały usta. Jeszcze parę minut szamotania się i związanego Włocha grupa przybyłych niosła w stronę baraku, gdzie przez szpary w okiennicy przebijała smuga światła.

Wniesiono jeńca do pokoju i położono na pryczy. Oświetlono mu twarz lampką. Któryś z grupy podszedł do niego i rzekł:

— Włochu Alberti, należałeś do Komuny Złotej Rzeki. Całą zdobycz podług naszej ustawy dzielimy pomiędzy sobą w równej części. Nikt nie dostaje więcej, nikt — mniej. Panuje tu sprawiedliwy podział, gdyż wszyscy sprawiedliwie i z całej siły pracują. Ty zaś wczoraj i dziś schowałeś złoto w podeszwach swoich trzewików...

Mówiąc to, podpruł Włochowi miękką podeszwę i wysypał na pryczę kilka kawałków złota.

— Zdradziłeś komunę i okradłeś ją. Podług naszego prawa, za kradzież, morderstwo, zemstę w okresie wspólnej roboty jest jedna tylko kara — śmierć! Wyrok cięży na tobie.

Lampa zgasła. Z ciemności dochodził ciężki oddech skazanego. Wkrótce trzech ludzi poniosło go w stronę opuszczonego już szybu, gdzie roboty, po wydobyciu wszystkiego złota,

były już na zawsze skończone. Do tego to szybu wrzucono zdrajcę. Ci, którzy wykonali wyrok śmierci, stali nad szybem i słuchali. Strącony do czeluści głębokiej studni człowiek spadał długo, aż nareszcie rozległ się głuchy łoskot i plusk wody. Tak surowa, karząca dłoń nieznanego Sędziego dosięgła tego, który złamał przysięgę i prawo komuny Złotej Rzeki.

W dziejach tej dziwnej komuny nie było wypadku, żeby nie dokonano wymiaru sprawiedliwości nad winnym, lecz nie było też żadnych pomyłek sądowych, żadnych skarg na surowe wyroki, a sumienia i twarze ludzi, których twardy los zarzucił w te wąwozy Chinganu, były zawsze pogodne, mimo, że praca była nad wyraz, czasami ponad siły uciążliwą i niebezpieczną. Dziwną tajemnicą otoczona, w milczeniu i niewiedzy przyznana była jednak przez wszystkich ta najwyższa władza: mądra, przewidująca a surowa zarazem.

Komuna Złotej Rzeki była jakgdyby jakimś samodzielnym państwem. Kupcy mandżurscy zwozili towary i barany, woły, konie, mąkę, wory z bobem, herbatę, cukier, tkaniny, obuwie, metale i narzędzia w ustalone miejsca, gdzie jacyś ludzie odbierali te towary i sumiennie płacili złotym piaskiem lub kawałkami złota. Żadnego oszustwa i żadnych sporów ze strony Komuny nie pamiętają ci Mandżurowie, którzy niegdyś handel ze Złotą Rzeką uprawiali. — Wszystkiego

zawsze w Komunie było poddostatkiem. Chińscy robotnicy pracowali w ogrodach warzywnych, położonych na okolicznych płaskowzgórzach i zaopatrywali ludność Komuny w jarzyny wszelkiego rodzaju. Ludzie odżywiali się obficie, mieli dobre i ciepłe ubranie i obuwie, dostawali tytoń do fajek, ale zato byli niewolnikami i panami Komuny, nie mając prawa jéj porzucać do czasu, aż cała Komuna nie przeniesie się na inne, zawczasu upatrzone miejsce. Zbieg bywał karany śmiercią, śmiercią również karano za grę w karty, kości i za pijaństwo. Nikt nigdy nie widział ani sędziów, ani katów i ręka sprawiedliwości zbiorowej dosięgała każdego w sposób tajemniczy. Złoczyńca znikał bez śladu i nazawsze.

Nikt nie wiedział i nie chciał dochodzić, od kogo szły rozkazy dzienne, ale nikt nie odważyłby się nie spełnić ich, ponieważ nad niepokornym zaciążyłaby ręka niewidzialnego sędziego, który o wszystkiem wiedział, wszystko widział i słyszał, a w wyrokach swoich o ile pozostawał tajemniczym, o tyle bezwzględnym i szybkim.

III.

Na tę dziwną Komunę, która w ciągu paru lat swego istnienia wydobyła około trzech tysięcy pudów złota, przyszły wreszcie ciężkie czasy. Obici Kozacy i krążące pogłoski zwróciły na Złotą Rzekę uwagę zaborczego rządu

rosyjskiego. Chociaż dolina Tinza-ho leżała w granicach Chin, władze rosyjskie postanowiły zaaresztować mieszkańców Komuny i zarekwirować złoto. Było to zwykłe rosyjskie bezprawie, osnute na tem, że ościenne państwa obawiały się starcia z potężnym sąsiadem, który długo niczem nie zdradzał, iż był kolosem o glinianych nogach.

Z Chabarowska posłano zatem pułk kozacki, zaopatrzony w dwie armaty. Pułk przeprawił się na chiński brzeg i zaczął się posuwać w stronę ujścia Złotej Rzeki. Rząd chiński, dowiedziawszy się o celu wyprawy, ze swej strony pchnął dwa bataljony piechoty z miasta Tzitzikara na Tinza-ho. Z dwóch stron posuwały się wojska ku Komunie, gdzie tymczasem wszystko szło po dawnemu, tylko w paru koszarach do późna w nocy, niemal do świtu paliły się lampki i jacyś ludzie naradzali się, siedząc na pryczach.

Można też było zauważyć, że po drugim uderzeniu dzwonu wieczornego, kiedy wszyscy mieszkańcy Komuny udawali się na spoczynek, znaczna grupa ludzi dalej pracowała, a praca ta nic wspólnego z kopaniem złota nie miała. Z jaskini, ukrytej w skałach, znoszono broń i wytaczano beczki z prochem i zwoje lontów; od strony wejścia do doliny rzeki, kopano długie rowy, coś w nich układano i znowu przysypywano ziemią. Takie same roboty prowadzono od strony południowych wzgórz, od których w pobliżu przechodziła chińska droga kołowa.

W jednym z baraków wysoki, chudy człowiek o niebieskich oczach z kilku pomocnikami, śród których byli Polacy, Chińczycy, Amerykanin, Holender, Niemcy i Japończycy, zestawiał jakieś listy, zapełniając je nazwiskami, oglądał mapę miejscowości i coś na niej oznaczał, dając wskazówki swoim pomocnikom.

O świcie jednak, gdy rozlegał się pierwszy dzwon, nic w komunie nie zdradzało tych nocnych robót, narad i tajemniczych przygotowań.

Nagle pewnego razu w ciągu dnia uderzył dzwon, uderzył trzykrotnie. Nigdy się to przedtem nie zdarzało i wzbudziło trwogę śród ludzi pracujących na powierzchni ziemi, na spadkach gór, około czeluści tunelów podziemnych i w koszarach. Wszyscy zrozumieli, że stało się coś bardzo poważnego i groźnego, i wszystko, co żyło, ruszyło w stronę koszar, przed któremi zwykle odbywały się wiece i zebrania.

Gdy cała ludność Komuny, te kilka tysięcy ludzi zgromadziły się przed budynkami, na stół wszedł wysoki i chudy człowiek. Był on w swoim codziennym skórzanym ubraniu, w którym widziano go zwykle w szybach lub przy maszynach. Nie miał na głowie czapki, i płowa, gęsta, już siwiejąca czupryna opadła mu na czoło, przysłaniając zimne niebieskie oczy o twardem, silnem spojrzeniu. Podniósł rękę do góry i po chwili wszystko dokoła się uciszyło.

— Towarzysze! — zawołał donośnym głosem — muszę was uprzedzić, że za jakie trzy godziny będziemy mieli tu u siebie nieproszonych gości. Rosja i Chiny posłały przeciwko nam wojsko, które ma rozpędzić nas na cztery wiatry i odebrać nasz dobytek. Wiecie z jakim trudem i wysiłkiem, odmawiając sobie wszelkiej radości życia, pracowaliśmy i zbieraliśmy to złoto na Tinza-ho, aby później porzucić ten kraj, powrócić do ojczyzny i pędzić dalej życie w dobrobycie śród swoich i dla swoich. Wiecie, że w ukrytych miejscach mamy już sporo złota i że każdy z nas może się uważać za człowieka bogatego. Mamy jednak przed sobą jeszcze sporo pracy. Wschodnia odnoga doliny, jak przekonaliśmy się, posiada bogate złoża złotego piasku. Powinniśmy go zabrać i — zabierzemy! Czyżby, towarzysze, na marne miała zejść nasza krwawa, ciężka praca tylu lat? Czyż oddamy to, na co strawiliśmy kawał naszego życia, Kozakom i Chińskim gaminom-żołnierzom?

Groźny pomruk olbrzymiego tłumu odpowiedział na słowa mówcy. Rozlegały się zewsząd głosy: „Nigdy! Niech spróbują! Brońmy się!“ Gdy się trochę uciszyło, mówca ciągnął dalej:

— Mądrze powiadacie: „brońmy się!“ Porzućcie więc na pewien czas roboty, idźcie do koszar, gdzie już czekają na was towarzysze, którzy obejmą dowództwo. Formujcie oddziały tak, aby do każdego z nich weszli najbliżsi dla

siebie ludzie. Od dowódzców otrzymacie broń i spełniajcie rozkazy ich tak samo bez wahania i oporu, jak spełniamy wszyscy rozkazy dzienne naszej Komuny. Z Bogiem, towarzysze, do broni!

Tłum jeszcze stał wpatrzony w miejsce, skąd przemawiał wysoki człowiek z rozwichrzoną, płową czupryną, lecz on już zeskoczył ze stołu i zamieszał się w tłumie. Robotnicy dzielili się tymczasem na oddziały i szli do koszar, do nieznanych jeszcze dowódzców.

W godzinę później osada opustoszała i wydawała się niezaludnioną. Ludność Komuny, podzieliwszy się na oddziały, poszła w góry i zapadła w krzaki, lasy i głębokie wąwozy, otaczające dolinę Tinza-ho, do której dążyły z różnych stron wojska rosyjskie i chińskie, pewne zwycięstwa i łupu.

Gdy pierwszy oddziałek Kozaków, pod dowództwem jakiegoś starszego oficera, zjawił się przy wejściu do doliny, z krzaków wyszedł krępy, siwy człowiek i, uchyliwszy czapki, zwrócił się do oficera z zapytaniem, co sprowadza tu uzbrojonych żołnierzy.

— Z rozkazu jego ekscelencji generał-gubernatora Wschodniej Syberji, mamy rozkaz zająć wojskiem osadę, która się tu znajduje, i czekać dalszych rozkazów władz.

— Jakim prawem? — zapytał siwy człowiek.

— Prawem szabli! — huknął na niego oficer kozacki.

Nieznajomy uśmiechnął się i rzekł spokojnym głosem:

— To nie prawo, lecz gwałt! Muszę panu przypomnieć, że ta ziemia należy do narodu chińskiego i Rosjanie rościć do niej żadnych praw nie mogą.

— Chłopcy! — krzyknął oficer. — Poczęstujcie tego dyplomatę nahajem, po naszemu, po kozacku!

Dwuch Kozaków ruszyło końmi, lecz siwy człowiek wstrzymał żołnierzy ruchem ręki.

— Nahajami wywijać zdążycie, ale przed tem posłuchajcie co wam powiem. Widzicie tam mostek przez rzekę? Nikt z was za ten mostek nie przejdzie, jeżeli będziecie posługiwali się bezprawiem. Uprzedzam! Namyślcie się zawczasu...

— Bij go! — wrzasnął oficer i podniósł nahaj. Uderzyć jednak nie zdążył, gdyż z okolicznych pagórków huknęła salwa karabinowa. Oficer spadł z konia, ugodzony kulą w głowę, jeden po drugim padali Kozacy, i tylko trzech zdołało wymknąć się z wąskiej czeluści zdradliwej doliny Złotej Rzeki.

Znowu zapanowała cisza w całej okolicy. Tylko woda mętnej Tinza-ho biegła z głośnym pluskiem, pędząc do Amuru. Nie długo jednak trwała ta cisza, gdyż wkrótce wejście do doliny zaroiło się od jeźdźców, którzy, zwyczajem kozackim, co koń wyskoczy pędzili naprzód. Jeszcze chwila i mieli dopaść mostku, gdy nagle rozległ

się pojedyńczy strzał, któremu odpowiedział straszliwy wybuch. Podminowana droga i most z hukiem i łoskotem wyleciały w powietrze. Bryły ziemi, kawały skał, słupy piasku i dymu, strugi wody zmięszały się w powietrzu z poszarpanemi ciałami ludzi i koni. Jednocześnie wszystkie pagórki okryły się dymem od strzałów karabinowych, krzaki rozkwitły ogniem regularnych salw. Krzyki zwycięzców, jęki rannych i wystraszone, przeraźliwe wycie uciekających naoślep Kozaków zabrzmiały w wąskiej dolinie. Ze spadków gór zbiegali zbrojni robotnicy i gonili zmykających napastników, którzy w popłochu porzucili swoje armaty. Po chwili dwa szrapnele pomknęły za uciekającym nieprzyjacielem, a echo ich wybuchu długo podawały sobie góry, przerzucając je od szczytu do szczytu, aż utonęło gdzieś na dnie doliny.

Prawie jednocześnie na drodze, wiodącej do Tinza-ho od południa, do posuwającego się oddziału chińskiego podjechał na dobrym gniadym wierzchowcu Chińczyk o śmiałej, śniadej twarzy i po długich, ceremonjalnych pozdrowieniach jął rozpytywać oficera, dowodzącego żołnierzami, o cel wyprawy.

Tu poszło całkiem inaczej. Oddział, maszerujący w stronę Komuny, nagle zatrzymał się i dalej już nie poszedł. Chińczyków zwalczył nie karabin, lecz wymowa, poszanowanie prawa i... spory worek złotego piasku. Chińczyk

z Komuny wytłumaczył oficerowi, że rząd chiński nie może zabraniać Komunie prowadzenia robót na Tinza-ho, ponieważ stara, jeszcze nie zniesiona ustawa głosi, że każdy człowiek, który otrzyma na to zezwolenie miejscowego księcia mandżurskiego, ma prawo wydobywać złoto z ziemi Helunkianga*). Chińczyk pokazał oficerowi papiery, dotyczące umowy z Mandżurami, obiecał przysłać obfite pożywienie dla całego oddziału i wręczył dowódcy worek ze złotem, który miał uwiązany do siodła. Gdy Chińczycy dowiedzieli się o zamiarze Rosjan zagarnięcia Złotej Rzeki wpadli w szał i chcieli pomagać Komunie w wojnie z Moskalami. Lecz „wojna" już była wtedy skończona i Kozacy zmykali do domu, kryjąc się w gąszczu krzaków nad Amurem, chociaż nikt nie gonił najeźdźców.

W końcu roku 1890-go, późnej jesieni, dziwny widok przedstawiała dolina Złotej Rzeki. Tłum jeźdźców, długi szereg naładowanych ludźmi wozów zaległy plac przed barakami. Na spadkach gór, przy wejściu do tunelów i szybów, na rusztowaniach około maszyn i pomp nie roiło się już od pracujących jak zwykle. Cała ludność z Tinza-ho widocznie porzucała złotodajną rzekę. Jednak czekano tu jeszcze na coś. Ludzie milczeli i kręcili głowami, jakgdyby kogoś wyglądając. Nagle uderzono w dzwon. Po chwili

*) Nazwa północnej prowincji Chin.

zjawił się wysoki, chudy człowiek, w otoczeniu kilku jeźdźców. Siedział na rosłym bułanym źrebcu, ubrany jak zwykle w niezmienną skórzaną kurtę i czapkę z daszkiem, spuszczonym na oczy. Stanął w strzemionach i zaczął mówić:

— Towarzysze! Praca nasza skończona. Zabraliśmy Tinza-ho całe jej złoto. Po kilku latach mozolnej, straszliwej pracy jesteśmy ludźmi bogatymi. Możemy zacząć teraz inne życie. Nauczyliśmy się tu, śród tych gór — pracy, sprawiedliwości i poszanowania prawa i ludzi. Zapomnijmy więc na zawsze nasze pomyłki życiowe i zbrodnie, które rzuciły nas na to pustkowie i na tę pracę nadludzką, pamiętajmy tylko o tem, czego nas nauczyła Złota Rzeka. Zmyliśmy z naszych rąk i dusz wszystkie dawne grzechy i niech Bóg dopomoże nam stać się w innem miejscu, śród innych ludzi nie gorszymi od nich, a raczej lepszymi, silniejszymi i uczciwszymi. Bywajcie zdrowi, towarzysze i przyjaciele, a wspomnijcie czasami o tym, który kierował ręką surową i twardą życiem i losem Komuny Złotej Rzeki. Być może, posłyszycie kiedyś o mnie. Nazywam się Bolesław Jurkiewicz, Polakiem jestem, rodem z ziemi męczenników odwiecznych i do tej ziemi powrócę i o jej szczęście walczyć będę, bo nic droższego już nie mam dla siebie. Wspominajcie o mnie czasami, gdy pamięć ożywi przed wami te lata, spędzone na Tinza-ho, ja zaś zawsze będę miał was w sercu swojem. Bywajcie zdrowi! Z Bogiem!

Wspiął konia i popędził naprzód. Za nim jechało dwóch jeźdźców...

Rozległy się krzyki, nawoływania, parskania koni, skrzyp kół. Długie węże jeźdźców i wozów wydobywały się z wąwozu i, rozbiwszy się na mniejsze części, zaczęły sunąć w różne strony...

Epopeja Złotej Rzeki była zakończona nazawsze...

UCHUŁ.

(Szkic z podróży przez Gobi).

Gdy podróżnicy po Centralnej Azji opuszczają ostatni mongolski klasztor na południu — Narabanczi, przechodząc przez zdradziecką rzekę Zapchyn, zagłębić się muszą w posiadłości chana Jassaktu.

Południowe obszary tego chanatu wchodzą już w skład zachodniej części pustyni Gobi, tak zwanej Naron-Khuhu-Gobi.

Straszliwe i ponure są to miejsca.

Jak tylko wzrokiem sięgnąć można, ciągną się żółto-szare martwe piaski, zrzadka tylko porośnięte badylami twardej, ostrej trawy, której nawet wielbłądy nie chcą tknąć. Lecz i te resztki roślinności znikają wkrótce i przed oczami podróżnika odłogiem leży Naron-Khuhu-Gobi. Ocean piasków, przenoszonych przez wichr, ocean, pokryty falami ruchomych wałów i pagórków, śród których, jak śród fal oceanu, odbywają swoją ostatnią podróż topielce — szkielety ludzi, koni i wielbłądów.

Gdym opuszczał Narabanczi, kierując się przez pustynię do chińskiej prowincji Kansu,

przeor klasztoru, czcigodny Dżełyb-Dżamsraphutuhtu, dał mi specjalny amulet, w postaci jedwabnej chustki z napisami zaklęć, i wyrzekł słowa, które strachem przejęły moich Mongołów.

— Chorczók choł uch morityj — chun oczirchonył... cecèg-charà-uchùł!...*)

Długo milczeli Mongołowie, a później zadali kilka pytań, z których zrozumiałem straszliwe znaczenie pustyni.

Czarna ospa jest plagą koczowników Centralnej Azji. Całe plemiona wymierają od tej choroby. Ogromne obszary Chałchi, Chin, Afganistanu, Tybetu rok rocznie są ogłaszane, jako zakazane dla koczowania i zamieszkania. Takie miejscowości są poznaczone wysokimi masztami, z powiewającemi na nich czarnemi lub żółtemi flagami w postaci trójkątów, z napisanym na nich jednym tylko słowem — „Uchùł“ **).

Do tych miejscowości zakazanych przez uczonych kapłanów-łamów są zwożeni chorzy na ospę. Żaden z nich nie ma prawa do uzdrowienia opuścić tego miejsca rozpaczy i straszliwej choroby, pod groźbą okrutnej śmierci od szponów złego ducha Cecèg. Nikt nie powinien zjawiać się w tym wyklętym obwodzie pod karą śmierci. Kto zaś umyślnie, czy przypadkowo

---

*) Nie wolno podawać ręki napotkanym jeźdźcom.. czarna śmiertelna ospa!

**) Śmierć.

tam się dostał, jest obowiązany pozostać do czasu, aż ostatni z chorych opuści z zezwolenia lamy-lekarza obóz ospy.

Najczęściej nikt nie pozostaje tam przy życiu, umiera nawet lama-lekarz, i tylko kości męczenników i porwane strzępy flag pozostają śród piasków pustyni.

Czasami epidemja jednocześnie szerzy się w różnych krajach Azji, a wtedy do Naron-Khuhu-Gobi ciągną zdaleka, aż z poza Himalajów karawany z choremi, gdyż podanie twierdzi, że zaraza z pustyni tej nie powraca, umierając wraz ze swemi ofiarami.

Tak było właśnie wtedy, gdyśmy przecinali Naron-Gobi pomiędzy grzbietami Boro i Khara, to też Mongołowie szczegółowo rozpytywali przeora, w jakiem miejscu wystawione są flagi „uchűł".

Ruszyliśmy... Przezroczyste, drgające od odbitych przez piasek promieni słońca powietrze pochłonęło nas. Lekki wiatr niósł drobny pył, który się zakradał do ust, gardła, nozdrzy i oczu i z lekkim zgrzytem biegł po powierzchni wydm...

Czasami na horyzoncie majaczyły czarne ruchome punkciki, szybko znikające. Wiedzieliśmy, że były to małe stadka dzikich koni, silnych i lekkich w biegu, a czujniejszych od argali — skalnych kozłów Bogdo-Uła.

Na trzeci dzień w parę godzin po południu spostrzegliśmy wielbłąda.

— Wielbłąd osiodłany, ale „chom“*) na nim nie nasz — oznajmili przewodnicy.

Skierowaliśmy się w tamtą stronę.

Na stoku piasczystego pagórka stał wielbłąd, a przed nim wysoki, chudy człowiek o smętnej czarnej twarzy i szeroko rozwartych, pełnych niepokoju oczach. Miał na sobie biały płaszcz i białą płachtą okręconą głowę i twarz.

— To człowiek z dalekiej Afagi**) — rzekł jeden z Mongołów.

Czarny człowiek obrócił twarz w naszą stronę.

Podjechaliśmy do niego z mongolskiem pozdrowieniem. Odpowiedział po mongolsku zachrypniętym i obojętnym głosem.

Mongołowie po zwykłych ceremonjach palenia fajki i zdawkowych pytań, rozpoczęli rozmowę. Afgańczyk mówił po mongolsku bardzo źle. Nareszcie przewodnicy jednak zrozumieli go, i przestrach odbił się na ich twarzach.

— Co tam takiego? — spytałem.

— Ten człowiek jedzie do zakazanego obwodu Ceceg-chara. Z jego dalekiej ojczyzny przywieziono tu młodą dziewczynę, — która jest jego narzeczoną. Zły duch Ceceg dotknął jej swemi przeklętemi palcami, a ciało jej pokryły czarne wrzody choroby. Wsadzono ją wraz z innemi na wielbłądy i rzucono tu do Naron-

---

*) Wielbłądzie siodło.
**) Afganistan.

Khuhu-Gobi na pastwę złego ducha... Czarny człowiek nie mógł czekać na jej powrót w swoim domu i przybył tu... Chce przekroczyć linję flag „uchùł“ i pozostać przy dziewczynie na śmierć lub życie... Powiada, że serce mu już umarło z troski o nią, a ciało prędzej umiera i bez tak wielkiego cierpienia...

Kazałem rozpalić ognisko z „argyłu“ *) i przyrządzić herbaty. Częstowałem Afgańczyka, który smętnym głosem, łamaną mongolszczyzną opowiadał o swoim niepokoju i męce swojej, a później oznajmił, że ma ostry wzrok i, że daleko na horyzoncie zoczył już złowrogie czarno-żółte znaki śmierci. Postanowił więc pozostawić tu wielbłąda, aby się nie zbliżał do niebezpiecznego miejsca, a sam miał zamiar iść piechotą do obozu chorych.

Rozstaliśmy się o zachodzie słońca, gdy wyznawca Islamu Afgańczyk rozpoczął już wieczorny „selam“.

Siedząc na ziemi i wpatrzony w zachodzące za wysokie fale piasków słońce, milcząc skinął nam na pożegnanie ręką.

Wkrótce znikł nam z oczu...

* * *

Tą samą drogą powracaliśmy w parę miesięcy później.

*) Suchy nawóz wielbłądzi.

W pustyni szalał wicher, wróżący blizką zimę. Chmury piasku mknęły nad ziemią, znosząc pagórki, zasypując wąwozy i tworząc nowe góry, sypkie i ruchome, jak widma bezbarwne i bezkształtne...

— Tu spotkaliśmy człowieka z Afagi... — odezwał się jeden z Mongołów.

Rzeczywiście było to to właśnie miejsce. Ukryte za wysokiemi wydmami przechowało jeszcze ślady naszego ogniska, przy którem leżał jakiś rzemyk z czerwoną kitą na końcu i złamany cybuch od fajki.

Mongołowie zaproponowali zatrzymać się tu na nocleg. Zgodziłem się. Gdy przewodnicy poszli na poszukiwanie „argyłu“ na ognisko, wkrótce zaczęli wołać, abym przyszedł do nich.

Zobaczyłem o trzysta kroków od naszego obozu trupa wielbłąda. Był osiodłany sposobem afgańskim, a padł pewno już dawno, gdyż sępy i kruki o czerwonych dzióbach zdążyły już rozszarpać mu głowę i szyję...

Nic więcej nie znaleźliśmy. Nigdzie nie spostrzegliśmy nawet najmniejszego śladu człowieka...

Gdzieś ty, czarny człowieku z Afagi dalekiej? Czyś odnalazł tę, którą umiłowało twoje dzikie, a wierne serce? Czy już stała się ofiarą potwornego ducha Cecega, a tyś walczył z nim i padłeś, czując, że ciało umiera w mniejszych cierpieniach, niż te które zabiły twoje stroskane niedolą kochanki serce?

Gdzieś ty czarny szlachetny człowieku? Jakim był twój los? Jeżeliś zginął, jakie były ostatnie chwile twego ponurego zgonu?...

Lecz milczała Naron-Khuhu-Gobi i tylko mknący piasek szumiał, złowrogo wył wicher, a w tych odgłosach pustyni martwej i straszliwej dosłyszałem tylko:

— Uchùł... Uchùł... Uchùł...

NA OLCHONIE.

(Z motywów syberyjskich.)

I.

Burzył się i wściekał Bajkał. Wiosenny „barguzin“, ten południowo-wschodni wiatr, gnał olbrzymie bałwany ku ciemnym skałom przeciwległego brzegu. Z łoskotem, złośliwym syczeniem i pluskiem biły one o kamienie i wylatywały do góry, jakgdyby z niebiosami walczyć chciały i wyzwanie szalone rzucały całemu światu. Na wzburzonej powierzchni olbrzymiego jeziora jeszcze pływały ostatnie tafle lodu, lecz rozsypywały się z suchym brzękiem, jak pękające szkło. Duże białe mewy z przeciągłym jękiem latały, co chwila porywane przez wiatr i miotane w różne strony.

Fale jeziora spotykały na swojej drodze długą, płaską wyspę. Wściekłe na przeszkodę w biegu przeciwko skałom Chamar-Dabanu, fale ciskały się na niski, krzakami wiklin porośnięty brzeg, odrywały duże szmaty ziemi, łamały krzaki i spływały z powrotem, ślizgając się na piasku przybrzeżnym jak długie, chyże węże.

Pomiędzy wyspą, znaną pod nazwą Olchon, a stromym zachodnim brzegiem jeziora, do któ-

rego przysunął się jeszcze śniegiem pokryty grzbiet Chamar-Daban, fale szalały najwięcej.

Na brzegu Olchonu stała niewielka kupka ludzi w długich, ciężkich kożuchach baranich i w kapucach lisich lub wilczych. Niezwykły wygląd mieli ci ludzie. Obrzękłe, zsiniałe twarze, nabrzmiałe usta, zjedzone przez jakąś chorobę nozdrza i powieki, powykrzywiane, węzłowate palce rąk, ciężki warczący oddech i głucha, gardlana mowa — mimowoli przejmowały zgrozą każdego, kto trafiał na Olchon.

Północne plemiona koczujących Buriatów zrzadka przybywały ku brzegom „świętego morza“, jak nazywali jezioro Bajkalskie. Wtedy pastusi przysłaniali zczerniałemi dłońmi swoje bystre, skośne oczy i z przerażeniem spoglądali na niskie, ledwie dostrzegalne śród fal jeziora czarne pasmo wyspy.

— Tała -- Uchuł... tała Uchuł... — szeptali drżącemi ustami.

Zwykle siadali na ziemi, zapalali fajki i powolnymi głosami, ponuro spoglądając na jezioro, zaczynali rozmawiać o tych, których złe duchy dotknęły swoją zatrutą ręką i rzuciły na wyspę Olchon; nazywali ją Tała-Uchuł, czyli „step śmierci“.

Olchon z dawnych czasów, kiedy tymi obszarami władali odważni i mądrzy carowie buriacy, słynął jako miejsce, gdzie zwożono z całego kraju chorych na „chamu“, czyli trąd, oraz na „miłdzan“, rodzaj dżumy, która powoli niszczyła

organizm ludzki, zabijając go stopniowo. Trędowaci i zadżumieni nie mogli pozostawać w swoich koczowiskach, gdyż byli niebezpieczni, jako źródło epidemji, a bardziej dlatego, że wzbudzali wstręt, zmieniając się w półzgniłe, ruchome trupy, widma okropnej nędzy i męki. Rosjanie nie bronili Buriatom posługiwać się Olchonem, który z biegiem czasu stał się miejscem wyklętym, zaludnionym przez straszliwe żywe trupy ludzkie. Okoliczni chłopi z obwodu Irkuckiego i Zabajkalskiego też zwozili na Olchon swoich chorych, i na wyspie tej zawsze przebywało do 300 chorych. Żyli w nędzy straszliwej i beznadziejnej, gdyż tylko czasem jakiś ofiarny, a odważny zarazem Sybiriak lub Buriat płynął czółnem w stronę Olchonu, składał na brzegu wory z żywnością i, nie oglądając się, płynął nazad.

Chorzy mieszkańcy wyspy żywili się przeważnie rybami, które łapali różnymi sposobami, tylko w Azji znanymi, czarnemi jagodami i orzechami cedrowymi, nigdy nie będąc pewnymi dnia jutrzejszego. Głód nieraz szczerzył tu zęby i dziesiątkował męczeńską ludność wyspy. Przybywała tu nieznaną drogą inna jeszcze klęska — czarna ospa, a gdy zaczynała grasować, wyspa stawała się bezludną i oczekiwała na przybycie nowych mieszkańców, którzy znajdywali w szałasach, w norach ziemnych lub wprost w krzakach trupy, rozszarpane przez drapieżne ptactwo i wilki, które w zimie po lodzie odbywały wy-

prawy na Tała-Uchuł, a później wyły długo, ponuro i groźnie, jakgdyby widziały przed sobą oblicze śmierci.

Grupa takich mieszkańców wyspy stała na brzegu i przyglądała się małej łodzi żaglowej, rzucanej przez fale, a sunącej w stronę Olchona.

— Słuchaj, Buszak — zaseplenił zjedzonemi przez trąd wargami stary Buriat, zwracając się do wyniszczonego przez dżumę młodzieńca — to nikt z naszych, bo płynie od Irkuckiego brzegu.

— A może to jakiś rybak zbłąkał się i woli od burzy tutaj się schronić, niż walczyć z falami — odrzekł Buszak.

— Nie może być! — potrząsnął głową trzeci, podobny do potwornego widma o wystających, opuchniętych stawach, wyglądających przez otwory brudnych łachmanów. — Żaden się nie odważy. Wolałby zginąć w „świętem morzu“ niż tu skierować łódź.

— Więc któżby to mógł być? — pytał znowu pierwszy.

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy z zaciekawieniem i niespokojem przyglądali zbliżającemu się żeglarzowi, który bardzo zręcznie prowadził swoje czółno, tnąc fale i szybko zbliżając się do brzegu wyspy.

Stojący na brzegu spojrzeli na siebie z trwogą i zaczęli szybko oddalać się w głąb wyspy.

— Lepiej się nie spotykać! — mruczał któryś, pamiętając pogłoski, które od czasu do czasu

krążyły śród chorych, otrzymujących wiadomości z niewiadomych nikomu źródeł. Pogłoski te niepokoiły mieszkańców wyspy, ponieważ mówiły o projekcie władz wysiedlenia chorych do jakiegoś szpitala. Pogłoski te, były zmyślone, gdyż rząd rosyjski wcale nie dbał o wyspę, a wszechwładni generał-gubernatorzy w Irkucku nigdy nawet nic o Olchonie i jego mieszkańcach nie słyszeli.

II.

Tymczasem łódź przybiła do brzegu wyspy, a wiatr i fale do połowy wyrzuciły ją na piasek. Z łodzi wyskoczył młody człowiek w czapce studenta uniwersytetu rosyjskiego i w długich butach myśliwskich. Umocowawszy linę czółna, obejrzał się i dużymi krokami skierował się w stronę gęstych krzaków, nad którymi unosił się słup dymu. Przybyły wkrótce wyszedł na obszerną polanę, otoczoną zaroślami wiklin, kalin i niewysokich brzóz. Ujrzał kilkanaście długich szałasów, zbudowanych z cienkich drągów, przeplatanych trzcinami i pokrytych grubą warstwą suchej, zczerniałej trawy i mchów. Oprócz tych szałasów były jeszcze inne legowiska ludzkie — niewysokie pagórki z ziemi i gliny, mające duży okrągły otwór, zamiast drzwi. Pośrodku polany palił się ogień wśród kilku kamieni, na których stał duży kocioł żelazny z gotującemi się w nim ry-

bami. W różnych miejscach widniały takież ogniska pierwotne. Ludzi jednak nigdzie nie dojrzał przybysz, a wtedy dłoń do ust przyłożył i krzyknął:

— Wychodźcie! Nic się wam złego nie stanie. Nie jestem urzędnikiem, nie jestem policjantem. Te słowa natychmiast poskutkowały. Z szałasów, z nor podziemnych i z innych barłogów zaczęły wypełzać, czołgać się dziwne, straszliwe w swej nędzy postacie, jedna od drugiej potworniejsza i bardziej znaczona piętnem śmierci. Wypełzły jak widma, wodzone snem chorobliwym, i zatrzymały się wahające, przerażone i nieufne.

Przybyły pewnym krokiem zbliżył się do nich, obszedł wszystkich, każdego obejrzał, o coś zapytał, a później uśmiechnął się prawie wesoło i zawołał:

— A ilu was tu się gnieździ?

— Stu pięćdziesięciu trzech! — odpowiedział za wszystkich chory na trąd stary Kozak, ledwie poruszając ustami.

— Siekiery, piły i inne narzędzia macie? — pytał dalej student, a gdy mu odpowiedziano, że kilka sztuk posiadają jął się rozpytywać, czy uprawiają rolę, a dowiedziawszy się, że tego tu nie znają, zdziwił się bardzo i rzekł:

— Niedołężna z was publika!

Obejrzał wszystkie skrytki, gdzie się gnieździli chorzy, kazał pokazać sieci rybackie i łodzie, wszystko spostrzegł i zapamiętał, zadawał różne pytania, a później poszedł wgłąb wyspy, chodził

długo, rozglądając się po całej okolicy. Gdy powrócił, oznajmił, że odjeżdża, ale powróci niebawem i wtedy nowe życie będą pędzili mieszkańcy Olchonu. Zostawił nowym znajomym duży woreczek z tytoniem, kilka pudełek zapałek, paczkę herbaty, którą miał w łodzi i trochę cukru.

Odwiązał swoje czółno, zepchnął je z pomocą mieszkańców na wodę, podniósł żagiel i odpłynął, odprowadzany milczącym podziwem i niewyraźną trwogą pozostających. Długo jeszcze patrzyły potworne istoty w stronę jeziora, gdzie pośród fal połyskiwał biały żagiel nieznajomego.

— Dobrze, czy źle? — rzucił pytanie stary Kozak.

— Dobrze! — chrypłym głosem wykrzyknął Buszak i na jego zeszpeconej twarzy zjawił się wyraz radości.

— Skąd wiesz, ty...? — spytała go jakaś w kabłąk zgięta kobieta, głośno kaszląc i jęcząc.

— To był „burchan“ — dobry bóg zdrowia! — odparł Buszak i nagle padł na kolana i zaczął się kłaniać w stronę łodzi, głośno uderzając głową o piasek.

III.

W 1883 r. w Charkowie miały miejsce znaczne zaburzenia studenckie. Żandarmi i policja, szukająca w Rosji zwykle „wroga wewnętrznego“, a widząc go zawsze w Polakach — „buntowni-

kach", zwaliła wszystko na polską młodzież uniwersytecką i kilkunastu z nich porwała do więzienia, a później na wygnanie na Sybir. Śród tych polskich studentów znajdował się Piotr Kowal. Syn gospodarza wiejskiego, z wielkim trudem wybił się z szarego środowiska wsi, ukończył gimnazjum i wstąpił na uniwersytet w Charkowie, gdzie studjował medycynę. Pracował starannie i uparcie, profesorowie lubili zdolnego studenta i rokowali mu świetną przyszłość. Życie uśmiechało się do Kowala. Miał bardzo dobrą korepetycję w rodzinie bogatego i znanego inżyniera — Polaka, gdzie go bardzo lubiono. Tu po raz pierwszy w sercu Kowala rozkwitł piękny kwiat miłości. Pokochał siostrę swego ucznia — 18-letnią pannę. Uwielbienie jego było tak wielkie, wyraźne i szczere, że wszyscy w domu odrazu się na tem poznali. Rodzice panny mieli nawet o tem rozmowę i przyznali, że taki młodzieniec mógłby mieć nadzieję zostania ich zięciem. Nie wiedział o tem student i jedynie swojej wybranej zwierzył się i błagał o jedno, aby pozwoliła się uwielbiać i być wiernym do grobu przyjacielem.

Panna Wanda, której się podobał młody, pełny porywu i przystojny student, zgodziła się tak prędko i szczerze, że wkrótce z ust młodych ludzi padły słowa miłości, przysięgi i marzenia o przyszłości, a wkrótce zamienili pokryjomu od rodziców, pierścionki. Byli narzeczonymi

przed Bogiem. Piotr Kowal miał jeszcze rok do skończenia medycyny i dopiero po otrzymaniu dyplomu lekarskiego miał prosić o rękę panny Wandy.

Nagle wybuchły rozruchy, rewizje, areszty, a w parę tygodni Piotra Kowala przywieziono do Irkucka, gdzie na wygnaniu miał spędzić pięć lat. Za co spotkała go taka kara — nikt mu nie mógł objaśnić, ale też nikt nie chciał sprawą studenta się zająć. Wszystkie podania i skargi Kowala utonęły w morzu szpargałów po kancelarjach urzędów rosyjskich.

Tymczasem Kowal pisał długie, gorące, pełne nadzieji listy do narzeczonej, dodawał jej otuchy i wiary w przyszłość, prosił o przechowanie mu miłości, jak on ją przechowuje i przechowa do ostatniego tchu. Na razie częste i tkliwe listy panny Wandy stawały się stopniowo bardziej krótkie, oziębłe i etykietalne, nareszcie ustały zupełnie.

Chłopak szalał z rozpaczy. Nie chciał i nie mógł uwierzyć w surową prawdę, że miłość, nie podsycana, gaśnie, a dogorywający ogień mogą rozniecić inne ręce, a więc gubił się w domysłach, nie spał, męczył się jak potępieniec. Nareszcie pod wpływem ustawicznej udręki postanowił przebłagać Boga uczynkiem dobrym, a dla ludzi pożytecznym. Miał też nadzieję, że taki czyn ukoi jego troskę i zachowa dla niego tę, którą umiłował na całe życie.

Piotr Kowal pracował jako felczer w szpitalu miejskim, ale porzucił go i przeniósł się do wielkiej wsi, położonej tuż nad brzegiem Bajkału. Przez tę wieś przejeżdżały zwykle rodziny wieśniaków, których rząd posyłał na osiedlenie do nowych obwodów na Syberji. Byli to schorowani, zgłodniali i zrozpaczeni ludzie, którym pomoc lekarską niósł student — Polak. Leczył po wsiach okolicznych i wszędzie spotykano go z szacunkiem i miłością. Bogaci chłopi syberyjscy, Kozacy, właściciele kopalni złota płacili mu hojnie i Kowal wkrótce posiadł znaczny kapitalik. Znali go jednak nie tylko bogaci, lecz i ubodzy chłopi, których los rzucił na Syberję. Ci nie mogli płacić, ale zato modlili się za niego i błogosławili. We wsi, gdzie mieszkał, założył szkołę i zaczął uczyć dzieci mieszkańców. Pracował przez dzień cały, ale męcząca trwoga i ból głęboki nie ustępowały mu z serca. Myśl co chwila powracała do ukochanej dziewczyny i najgorsze przypuszczenia, że jest chora, lub że umarła, ścinały mu krew w żyłach. W pracy i udręce ustawicznej żyjąc, pewnego razu dowiedział się o wyspie Olchon, o ponurej Tała-Uchuł.

Zrozumiał, że praca w straszliwych warunkach tej wyklętej miejscowości będzie prawdziwie dobrym, miłym Bogu uczynkiem i będzie w stanie pochłonąć go całkowicie.

— A może — mignęła mu kilka razy myśl — zachoruję tam i umrę...

Ucieszył się na tę myśl i postanowił przenieść się na Olchon, zrobiwszy jednak przedtem wywiad, który tak zdziwił i zatrwożył potworny światek wyspy.

IV.

W parę tygodni później kilka łodzi żaglowych, naładowanych różnemi rzeczami, nabytemi przez Kowala, sunęło w stronę Olchonu. Na brzegu złożono cały ładunek łodzi poczem wszystkie odpłynęły za wyjątkiem jednej. Była to łódź Kowala, który już szedł do obozowiska trędowatych i zadżumionych. Spotkali go jak i przedtem nieufnie i z trwogą, i tylko Buszak witał go z jakąś pobożną radością.

Kowal odrazu ujął władzę w swoje ręce. Ludność wyspy zaczęła pracować. W ciągu dnia zniesiono wszystko na polanę, a po południu kilkunastu zdrowszych i silniejszych mężczyzn pracowało już w lesie, rąbiąc cedry i przerabiając je na belki i deski dla przyszłych budynków. Na polanie i w zaroślach, otaczających ją, ludzie oczyszczali place dla domów i kopali doły dla słupów; w głębokiej kotlinie słabsi wydobywali glinę i robili z niej cegły. Z tej niewypalonej cegły miał powstać piec dla wypalania jej, a dla paleniska zbierano w lesie suche gałęzie i rąbano upadłe, oddawna leżące w gęstwinie konary drzew.

Na wyklętej wyspie zawrzało życie. Tłum ludzi roił się ciągle w różnych miejscach. Buchały dymem piece dwóch cegielni, a na polanie, gdzie były tak niedawno barłogi ludzkie, w końcu lata stanęły dwa duże baraki murowane i spory skład dla zapasów pożywienia. Ludzie, którzy przedtem z ponurą cierpliwością wyglądali zgonu, teraz pracowali z jakimś zapamiętaniem. Robiono beczki dla solenia ryby; kilka łodzi stale pływało w północnej części jeziora i tam się odbywał obfity połów wspaniałej ryby bajkalskiej, zwanej „omul" z gatunku pstrągów. Ryby te solono i wędzono w czasowych drewnianych szopach, zbudowanych w lesie tuż przy brzegu jeziora; kobiety plotły siecie, naprawiały ubrania, gotowały strawę. Na południowej, bezleśnej połowie wyspy grupa chorych uprawiała rolę i na jesieni Kowal oczekiwał dobrych zbiorów ziemniaków, bobu i jęczmienia; w ogrodzie warzywnym, ukrytym na dużej polanie leśnej, urodziło się dużo wszelkich jarzyn.

W cedrowych lasach Kowal wykrył sporą ilość soboli, wiewiórek i kun. Postanowił zdobyć je z początkiem zimy, a więc kilku chłopów, którzy przed chorobą i wygnaniem na Olchon trudnili się myśliwstwem w lasach i górach Chamar-Dabana i na Angarze, sporządzali tam używane zwykle przez Sybiriaków sidła i pułapki.

— Na zimę będziemy mieli kapitał z tych futer, a wtedy jeszcze inną gospodarkę zarzą-

dzimy! — mówił Kowal do swoich potwornych towarzyszy.

A obok studenta, jak cień nieodstępny, tkwił zawsze młody Buszak. Stał się adjutantem „burchana“, jak nazywał z całym przekonaniem Kowala. Był on narzędziem posłusznym i oddanym w jego ręku, wiedział o wszystkiem co się działo na wyspie, rozdzielał ludzi na oddziały dla wykonania różnych robót, umiał z każdym dojść do porozumienia, był niezastąpionym pomocnikiem Kowala w jego nadzwyczajnym przedsięwzięciu.

Jako lekarz, student po paru miesiącach zauważył, że pochłonięci pracą ludzie mniej myśleli o swojej chorobie, szczególnie dotyczyło to zadżumionych, którzy jakgdyby odrodzili się. Choroba ta, powoli trująca organizm Azjatów, widocznie zatrzymała się w swoim dalszym rozwoju. Dobrze odżywiani, zajęci pracą, ustawicznie podbudzani energją Kowala i Buszaka, ludzie nabrali ciała, cery, świeżości, mięśni — siły i sprężystości.

Patrzyli jak w tęcze w spokojną i pogodną twarz Kowala i w mózgach Azjatów i nie wiele inteligentniejszych od nich syberyjskich chłopów krzepła myśl, że wśród nich przebywa jakiś czarownik, a może, jak w to święcie wierzył Buszak, dobre bóstwo.

Gdy Kowal widział, jak z nędzy i rozpaczy chorzy krok po kroku podnosili się do życia ludzkiego i do nadziei, jakaś fala wielkiej i gorącej

miłości przypływała mu do serca i wtedy oczy zamglone ku niebu wznosił i szeptał:

— Boże dobry! Jeżeli uczynek mój jest miły Tobie, a ludziom tym stroskanym — na zbawienie i pożytek, o jedną nagrodę Cię proszę... zachowaj dla mnie i złącz mię z tą, którą ukochało serce moje...

Gdy przyszła jesień, składy kolonji potwornych ludzi były pełne zapasów. W dołach pod posadzką mieli złożone ziemniaki, marchew, kapustę, wory z grochem i bobem. W dużych jaszczach leżało zsypane ziarno jęczmienne, w beczkach przechowywano solone „omuli“, a pod pułapem wisiały szeregi suszonych i wędzonych ryb. Na strychu baraków stały też beczki z rybami, stosy suszonych ryb, worki z jęczmieniem i worki z suszonymi liśćmi borowiny, czarnych jagód i głogu, używanemi na „herbatę“. Skrzętne kobiety nasuszyły nawet sporo jagód na zimę i upiększyły wszystkie schowanka w barakach długiemi wianuszkami grzybów.

Nareszcie wypadł pierwszy śnieg i na burzliwej powierzchni Bajkału zjawiać się zaczęła kra. Wraz z nią ku brzegom północnej połowy wyspy zaczęły przypływać i urządzać sobie legowiska małe foki jeziorne czyli „nerpy“. Kowal z Buszakiem zawzięcie na nie polowali i wkrótce do magazynu kolonji weszły nowe artykuły — kilkadziesiąt skórek fok i doskonały tłuszcz, którym wcale nie pogardzała niewybredna ludność Olchonu.

Nareszcie Bajkał stanął, a coraz ostrzejsze mrozy pokrywały go bardziej i bardziej grubą taflą lodu. Kowal wraz z Buszakiem wyruszyli pewnego poranka przez jezioro ku brzegowi. Buszak niósł na plecach spory worek, wypchany skórkami soboli, wiewiórek i kun, które doszczętnie wyłapali wprawni Sybirjacy, Buriaci zaś wytropili kilku lisów i w sidła napędzili sporo gronostajów.

Gdy do brzegu pozostawało nie więcej od kilometra i już przez mroźną mgłę wyraźnie występowały domki wsi, Kowal odebrał od towarzysza ciężki worek i rzekł:

— Teraz biegnij do domu i czekaj na mnie, Buszak! Za parę dni powrócę i nie sam...

Buriat swoim zwyczajem upadł przed „burchanem“ na kolana i głową jął bić w śnieg.

— Sajn! — Sajn, burchan! — bełkotał przez łzy i długo później, jak wierny pies patrzał w ślad odchodzącego, aż póki ten nie znikł za zakrętem drogi śród przybrzeżnych skał.

Wtedy dopiero podniósł się i szybkim krokiem podążył do domu, nucąc swoim gardlanym głosem jakąś ponurą zwykle i monotonną pieśń, przy dźwiękach której Azjaci krwią i płomieniem zalewali niegdyś obce ziemie, a później umierali w cichości i pokorze ducha i snuli swe skromne, proste jak ich stepy i nagie góry marzenia koczowników.

V.

We wsi spotkano go serdecznie i radośnie. Odrazu znalazło się sporo chorych na różne dolegliwości. Zaczął więc natychmiast od praktyki lekarskiej, która zajęła mu cały dzień. Wieczorem prowadzono go z chaty do chaty, częstowano i rozpytywano o życie na Olchonie; był więc zmuszony opowiadać o wszystkiem szczegółowo. Chłopi i Kozacy za głowy się brali z podziwu. Stary Kozak, u którego Kowal mieszkał przed wyjazdem na Olchon, zawołał:

— To już z pewnością, że ty jesteś czarownikiem, bo tak wszystko urządzić z pięciu palcami, to tylko czarownik potrafi! No! No!

Kowal natychmiast ze swojej reputacji czarownika skorzystał. Zaczął opowiadać o nędzy mieszkańców wyspy, gdy poszedł do nich, i o zbawiennym wpływie dobrobytu i pracy na tych ginących w rozpaczy ludzi. Mówił o miłości dla cierpiących, o obowiązku chrześcijańskim i miłosierdziu. Obecny przy tem młody, dość inteligentny i religijnie nastrojony pop tak się przejął słowami studenta, że zwrócił się do chłopów z mową:

— Jesteście bogaci i zdrowi. Życie przed wami stoi otworem, a ci tam, biedacy mogą tylko ułatwić sobie, zrobić znośnem oczekiwanie niechybnej śmierci od straszliwych chorób, trawiących ich ciało. Przypomnijcie sobie o ranach

naszego Zbawiciela — Chrystusa, który za ludzi krew swoją oddał i chociaż w słabej mierze pójdźcie za jego przykładem, bracia i siostry! Dopomóżcie temu dobremu człowiekowi w jego opiece nad nieszczęśliwymi, pomóżcie, kto czem może!

Kowal dodał, że chce nabyć dla kolonji trochę bydła, by mieć mięsne pożywienie dla najsłabszych, wełnę na sukmany i skórę na buty, ale ma na to zbyt mało pieniędzy, wie jednak, że wieś posiada duże stada krów, owiec i koni, Może ktoś zaofiaruje cokolwiek dla cierpiących braci z Olchona.

— Bóg za to was stokrotnie wynagrodzi! — zawołał pop.

Starosta wiejski, stary Sybiriak od dziadów-pradziadów, podrapał się w głowę i rzucił:

— Dać? Dlaczego nie dać? U każdego coś się znajdzie... Damy.

Kowal, wzruszony dziękował wszystkim, a myśl jego mimowoli w porywie szlachetnej dumy leciała do wybranej i szeptała do duszy młodzieńca:

— Niech zobaczy czegoś dokonał, niech wie, ile serca oddajesz dobremu dziełu!

Student ciężko westchnął, gdyż przypomniał sobie, że na ostatnie dwa listy do narzeczonej i do jej rodziców żadnej odpowiedzi nie otrzymał. Już w duszy jego składać się zaczęło przekonanie, że stało się coś naprawdę stra-

sznego, o czem myśl starannie odpędzał od siebie młodzieniec, czując, że groziłby mu w przeciwnym razie obłęd rozpaczy i goryczy do niezniesienia.

Nazajutrz starosta dał mu sanki, które, zaprzężone w dwa silne i rącze koniki zabajkalskie, z młodym parobkiem za stangreta, szybko pomknęły szosą do Irkucka.

Leżąc w sankach na miękkiem sianie otulony w ciepły, nieskończenie długi i ciężki kożuch barani, czyli „barnaułkę", jechał Kowal szeroką drogą śród lasów, ciągnących się od Chamar-Dabanu prawie do samego Irkucka — stolicy Wschodniej Syberji. Nad drogą przeciągały w mroźnym powietrzu stadka czarnych cietrzewi i nagle usadawiać się zaczynały na wysokich gałęziach brzóz, a wtedy zdawało się, że jakieś olbrzymie czarne owoce wyrosły z cienkich gałęzi. Czasem z przydrożnych krzaków wywinął się biały zając i śmignął przerażony z powrotem. Parobek zacinał konie. Mknęły, aż biała kurzawa obłokiem pędziła za sankami i gęstym szronem opadała na czarne kożuchy studenta i stangreta.

W jednym miejscu, przy mostku, przerzuconym przez małą rzeczułkę, Kowal zauważył kilka starych, zczerniałych i pochylonych krzyży tuż na zboczu szosy.

Student już nieraz spotykał na Syberji przy wielkich drogach te smutne znaki. Widział, że były to wiechy wzdłuż nieskończenie długiego szlaku — szlaku męczeństwa.

Tą drogą od niepamiętnych czasów ciągnęły zastępy politycznych wygnańców, których rząd moskiewski gnał na pustkowia Syberji na mękę i na zagładę. Szli ci ludzie, dzwoniąc kajdanami i beznadziejnie śledząc za nieskończonemi skrętami drogi, która przecinała góry, lasy i stepy i przez zmarznięte potężne rzeki szła coraz dalej i dalej na wschód i na północ. Te tłumy wygnańców pozostawiały po sobie trupy zmarłych towarzyszy niedoli, oraz idących ich śladem matek, żon i dzieci.

Zbożni chłopi syberyjscy grzebali zmarłych i stawiali nad ich grobami krzyże...

Smutne myśli ogarnęły Kowala. Czuł, że za tę miłość, jaką pałało serce jego do Wandy, ona powinna była podzielić z nim jego niesprawiedliwy i surowy los. Jakże szybko i pięknie przeleciałby wówczas okres jego wygnania! Nie tylko jednak nie uczyniła tego, lecz z pewnością, nawet wspomnienia o nim już się zacierać zaczęły w jej pięknej główce, tej umiłowanej, wymarzonej główce... Ach nie! nie! Nie chce student tak myśleć o niej — czystej, ubóstwianej... Tego być nie może... Coś innego musiało się stać... Ale co?

Kowal chmurzy czoło i ręce rozpaczliwie ściska, beznadziejnie i bezradnie oglądając się, jak gdyby szukając odpowiedzi, rady...

Tak jechał Piotr Kowal, a rozpacz i zwątpienia głębiej zakradały się do duszy i serca,

nareszcie zaczął rozmawiać z parobkiem, aby głos ludzki usłyszeć, aby beznadziejne, ciężkie myśli pierzchły przy dźwiękach mowy ludzkiej.

Pod wieczór już przyjechał student do Irkucka i zatrzymał się u znajomych. Tegoż dnia odwiedził firmę, skupującą futra i załatwił swoje interesa, sprzedawszy bardzo dobrze przywiezione skórki. Cały dzień następny zeszedł mu na kupowaniu potrzebnych dla kolonji rzeczy, śród których znalazła się nawet maszyna do szycia. Wynająwszy dwie furmanki, powracał Kowal swojemi sankami do wsi na brzegu Bajkału. Przybywszy tu, dowiedział się, że chłopi ofiarowali dla jego kolonji kilka krów i koni, kilkanaście owiec i świń, a skrzętne gospodynie wydzieliły sporo kur i gęsi i nazbierały całe wory domowych tkanin, starego ubrania i bielizny i tak dużo żywności, iż Kowal z przerażeniem myślał, jak wszystko to dostarczy na swoją wyspę. Odbyło się to jednak bardzo szybko i prosto. Chłopi naładowali kupione i zebrane przez swego doktora rzeczy, oraz owce, świnie i drób na kilka sanek i, uwiązawszy do nich krowy i konie zawieźli na wyspę i tu przy brzegu pozostawili.

Gdy odjechali, przy całym tym bogactwie pozostał samotny Kowal. Lecz nie zdążyli chłopi oddalić się o jakie pięćset kroków, z krzaków wypadł zaczajony tam oddawna Buszak i, rzucając się do kolan studenta, wołać zaczął radosnym głosem:

— Burchan, Burchan! przybyłeś... obawialiśmy się, żeś powrócił tam!

Mówiąc to, ręką na niebo wskazał.

Po chwili ludność kolonji otoczyła Kowala, całowano go po rękach, podejmowano pod kolana, padano przed nim na twarz lub dłonie wyciągano do niego, ruchem modlitwy.

Wielką radość i szczęście odczuwał młodzieniec. a myśl znowu pomknęła do Najwyższego Sędziego i poniosła nieme błaganie serca:

— Boże, zachowaj dla mnie ją — umiłowaną! Boże, połącz nas! Boże, który znasz głębię mojej miłości...

Trzeba było jednak działać. Wydał kilka rozporządzeń i wnet wszystko rzuciło się do pracy. Mężczyźni ładowali na kupione przez Kowala sanki pudła, toboły i wory; Buriaci — znawcy koni, uważnie oglądali przyprowadzone szkapy i z zadowoleniem cmokali ustami; kobiety miłośnie prowadziły krowy, owce i świnie i niosły kury i kaczki w stronę baraków, gdzie stały od jesieni wzniesione obory o ścianach, splecionych z prętów wikliny i brzozy.

Przez całą zimę wrzała nowa praca. Robiono wozy i koła, szyto bieliznę, ubrania i buty, pleciono sieci i pielęgnowano bydło i drób tak, jakgdyby mieszkańcy osady stali się niewolnikami koni, krów i innego żywego dobytku. Buriaci, wprawne pastuchy, wynaleźli na wyspie miejscowości, dogodne dla paszy bydła nie tylko w lecie,

lecz nawet w zimie, gdyż śnieg tu był nie głęboki, miejsce zaciszne i bydło mogło wygrzebywać sobie pokarm z pod śniegu. Zresztą, Kowal zrobił w lecie i na jesieni spory zapas siana i słomy. Świnie, obficie karmione jęczmieniem i ziemniakami, a pozbawione ruchu, groziły, że się rozpękną od tłuszczu, ciesząc oczy gospodyń, a ich potworne, zniszczone przez chorobę twarze ciągle się uśmiechały.

Nareszcie przyszła wiosna i lato. Zaczęły się roboty rolne. Mężczyźni z pługami wyszli w pole i coraz to nowe płaszczyzny i polany zmieniali w glebę uprawną. Piasczyste wydmy Kowal użyźnił przywiezionemi w workach sztucznymi nawozami i proszkiem torfowym, który nauczył robić z wydobywanego na północy Olchonu torfu.

Osada trędowatych i zadżumionych zaczęła żyć pełnym życiem i szybko się rozwijać. Kowal zauważył, że niektórzy chorzy w warunkach dobrobytu zaczęli powracać do zdrowia, gdyż dobrze odżywiany organizm zwalczał chorobę. Wypadki śmierci stawały się coraz rzadsze, a sama choroba tych ludzi zaczęła przyjmować inne nieznane i całkiem nieszkodliwe formy. Student poczynił cały szereg spostrzeżeń naukowych, a z nich jedno najważniejsze, że trąd jest chorobą niezaraźliwą. Inne jeszcze spostrzeżenie miało ważne znaczenie naukowe, a mianowicie, że „miłdzan“, czyli powolnie działająca dżuma,

była właściwie nie dżumą, a tylko jakąś inną chorobą, znikającą przy ruchu na czystem powietrzu, przy dobrym utrzymaniu i ciepłym mieszkaniu.

Buszak zupełnie się wyleczył i był drugą po Kowalu osobą w osadzie. Sprytny i dzielny, mógł już samodzielnie kierować życiem kolonji.

Kowal rozumiał, że ten ubóstwiający go człowiek mógłby go już zastąpić. Chciał tylko wprowadzić w osadzie jeszcze jedną rzecz, a mianowicie — sprzedaż jarzyn, masła, ryb i cedrowych orzechów do poblizkich miast: Irkucka, Wercholeńska, Barguzina i Mysowska. Dla tego celu miał przed sobą zadanie zbudować flotylę łodzi żaglowych.

Chciał wprowadzić handel dlatego, żeby osada miała zawsze towar lub pieniądze dla nabywania potrzebnych rzeczy.

Właśnie gdy się naradzał nad tem z Buszakiem i kilku innymi osadnikami, przybiegł pracujący na zachodnim brzegu wyspy człowiek i doniósł, że jakiś statek zbliża się do wyspy.

Kowal wziął czapkę i poszedł ku brzegowi. Ujrzał niewielki rządowy parowiec, który już dobijał do wyspy. Nareszcie zahuczał przeraźliwie i zatrzymał się o jakie trzydzieści kroków od dość stromego brzegu wyspy.

— Czy tu mieszka student Piotr Kowal? — krzyknął z pokładu parowca kapitan.

— Jestem! — odpowiedział Kowal.

— Z rozkazu jego ekscelencji generał-gubernatora dostarczamy panu list urzędowy.

Z temi słowy kapitan rzucił na brzeg dużą kopertę z przywiązanym do niej kamieniem.

Kowal podniósł kamień i rozerwał kopertę. Kilkadziesiąt par oczu osadników śledziły za wyrazem twarzy czytającego.

Kancelarja generał-gubernatora donosiła, że jego ekscelencja generał, baron Korf, dowiedziawszy się o obywatelskiej pracy studenta Kowala na wyspie Olchon, chce go poznać osobiście, i w tym celu posyła po niego statek rządowy.

Student oznajmił kapitanowi, że po chwili będzie gotów i zjawi się na statku, zgodnie z życzeniem generała.

Gdy kowal oznajmił w osadzie, że musi wyjechać, gdyż go wzywają do Irkucka, zapanowała wielka i szczera rozpacz. Ludzie cisnęli się, jak dzieci do młodzieńca, szlochali, modlili się i wzdychali.

— Nie powiesi mnie przecież generał-gubernator? — ze śmiechem mówił Kowal.

— Kto wie? — potrząsali głowami starsi osadnicy. — Gdy władze wzywają — to zawsze źle!

— Może nie powieszą ciebie, Burchan, — zauważył Buszak — ale mogą cię tu do nas więcej nie puścić. Tacy, jak ty, wszędzie są potrzebni... Co wtedy my tu bez ciebie poczniemy? Bieda!

Zaczął głośno i żałośnie szlochać.

Nareszcie, zabrawszy trochę swoich rzeczy, Kowal, odprowadzony przez całą gromadę, wsiadł do czółenka i podjechał do statku, gdzie go spotkano nader grzecznie i nawet z pewnymi honorami.

Statek zahuczał i, siekąc wodę śrubą, odpływać zaczął. Kowal długo widział tłum zrozpaczonych i strwożonych osadników, który się nie rozchodził, aż statek znikł im z oczu, płynąc na południe.

VI.

Kowal porzucił statek w wielkim siole Kułtuk, gdzie oczekiwał go dobry powóz, którym dojechał do Irkucka. W kancelarji gubernatora, poinformowano go, że dla niego został wyznaczony w hotelu duży pokój, gdzie może się przebrać i wtedy będzie przedstawiony generałowi.

O godzinie ósmej wieczorem przybył do Kowala adjutant i odwiózł go do pałacu gubernatorskiego. Niebawem wprowadzono studenta do gabinetu.

Przy dużym biurku, zarzuconym papierami i książkami, siedział wysoki siwy o rozumnej i dobrotliwej twarzy generał. Był to baron Korf, uczony i podróżnik, niemiec, mający wielkie wpływy przy dworze cara.

Podniósł się na spotkanie Kowala, wyciągnął do niego rękę i łamaną mową rosyjską zaczął podziwiać działalność studenta śród nieszczęśliwych tubylców wyklętej wyspy. Mówiąc to, zwracał się do obecnych dygnitarzy i ci również bardzo pochlebnie wyrażali swoją opinję o pracy Kowala. Nareszcie generał poprosił studenta usiąść i opowiedzieć o całym przebiegu jego czynności na Olchonie.

Kowal rzeczowo i barwnie zarazem naszkicował przejście ludności, umierającej w barłogach, do formy życia współczesnych osadników, a gdy mówić zaczął o swoich spostrzeżeniach medycznych, słuchający go uważnie główny inspektor lekarski dr. Aleksandrowicz prosił go o odczyt w towarzystwie lekarskim.

Baron Korf zaprosił wszystkich na kolację, a nazajutrz, gdy Kowal miał odczyt w towarzystwie lekarskim, zaszczycił go swoją obecnością, podkreślając swoje zainteresowanie osobą i pracą studenta. W rezultacie generał oznajmił, że będzie nalegał na założenie centralnej lecznicy i stacji klimatycznej dla chorych na trąd i północno-azjatycką formę dżumy.

Gdy posiedzenie było skończone, Korf zaprosił Kowala do swego powozu i, biorąc go pod ramię, rzekł głośno:

— Dowiozę pana do hotelu...

Na obecnych sprawiło to ogromne wrażenie i szanse Kowala podniosły się niezmiernie.

W drodze stary generał długo milczał, aż nareszcie poklepał Kowala po ramieniu i zagaił rozmowę:

— Mam dwuch takich synów, jak pan... Tylko chciałbym, aby byli do pana podobni... O, bardzo chciałbym!

— Pan mię nie zna, panie generale — zaprotestował student.

— O, ja się nigdy na ludziach nie mylę! — zawołał generał. — Znam pana tak, jakgdybym go znał całe życie.

— Dziękuję panu, panie generale, alem na to nie zasłużył — szepnął wzruszony Kowal.

— No, już dobrze, już dobrze! — ciągnął tymczasem generał. — Może więc pan być ze mną zupełnie szczerym. W czem mogę być panu pożytecznym? Nie spodziewam się odmowy w Petersburgu, gdy o pana będę prosił. Więc niech pan mówi! Uczynię chętnie wszystko, bo uważam, że zasługi pana są tak wielkie, iż wszystkie pańskie dawne pomyłki są stokrotnie pokryte.

Kowalowi fala gorącej krwi rzuciła się do twarzy, a serce zaczęło głośno tłuc się w piersi. Pierwszym odruchem jego było uprosić generała, aby pozwolono mu natychmiast opuścić Syberję i powrócić do Charkowa.

— Lecieć do niej, jedynej, ubóstwianej, powiedzieć jej, że miłość dla niej nie pozwoliła mu zgnuśnieć, opuścić się na wygnaniu, lecz dokonać czynu, który nawet wrogie carskie władze po-

szanowaniem do niego przyjęły! Do niej....do wolności, miłości i nowej pracy dla ludzi ...razem z nią!

Te myśli rozsadzały mu mózg, łzy wyciskały z oczu, zmuszały serce ściskać się jakimś rozkosznym bólem. Ale, gdy już miał usta otworzyć i staremu generałowi życzenie swoje wypowiedzieć, jakiś obcy, nieznany głos dobitnie szepnął mu do ucha:

— Co tam znajdziesz? Czy jesteś teraz jej pewny? Czy nie spotka cię nowa męka i ból? Nie spiesz się, młodzieńcze, niech wszystko idzie swoją drogą, niech płynie życie tak, jak kieruje nim łożysko, wyryte ręką Losu...

Drgnął i słuchał dalej tego szeptu tajemniczego:

— Co przywieziesz ze sobą, oprócz siebie samego, nieznanego tam i niezrozumiałego dla niej piękna twego czynu i udręki dni twoich na wygnaniu?

Kowal ochłonął. Spojrzał w dobrotliwą i uważną twarz siedzącego obok starca i rzekł:

— Panie generale! Mam prośbę... Przed zesłaniem na Syberję pozostawał mi jeden rok do ukończenia medycyny... Przez te trzy lata pobytu tu nabrałem dużo praktyki, doświadczenia, a czytałem ciągle. Jestem przygotowany do egzaminu dyplomowego. Prosiłbym o pozwolenie wyjechać stąd do najbliższego uniwersytetu i złożyć egzamina...

— Tylko tyle? — zdziwił się baron Korf. — Może jeszcze coś?

— Być może, po otrzymaniu dyplomu będę prosił pana generała o więcej, tymczasem nie mam innego pragnienia.

— Dobrze! — rzekł generał, a jego oczy badawczo i rzewnie zarazem patrzyły w smutną twarz młodzieńca.

VII.

Kowal na kilka dni powrócił na Olchon, aby pożegnać swoich przyjaciół i dać wskazówki na najbliższy czas. Nie było granic rozpaczy osadników. Buszak wprost odchodził od zmysłów. Cała osada wyległa na brzeg, kiedy parowiec z Kowalem odpływał. Długo słyszał student głośny płacz, jęki i dzikie, pełne trwogi wycie mieszkańców samotnej wyspy na Bajkale.

Baron Korf zaopiekował się Kowalem z całą serdecznością. Wyrobił dla niego pozwolenie na pobyt w Kazaniu, gdzie istniał uniwersytet, wydał mu znaczną zapomogę pieniężną i posłał listy polecające do gubernatora, rektora uniwersytetu i swego osobistego przyjaciela, profesora Wilhelma Kuhnera, Niemca z kraju Nadbałtyckiego, z którego pochodziła rodzina barona. W ciągu niespełna pięciu miesięcy Kowal złożył wszystkie egzamina, praktykę w klinikach, gdzie

zwrócono uwagę na jego wybitne zdolności djagnosty. Nareszcie dyplom lekarski leżał już w biurku doktora Piotra Kowala, a senat uniwersytecki wszczął rokowania z Petersburgiem o wydanie Kowalowi zapomogi państwowej na podróż w celu naukowym zagranicę.

W trakcie tego, gdy szły te rokowania, młody lekarz przeżywał ciężkie chwile oczekiwania. Ale nie były to one związane z projektowaną podróżą. Kowal w dzień otrzymania dyplomu napisał dwa listy. Jeden z nich do panny Wandy, drugi — do jej ojca. W liście do narzeczonej, młody lekarz bardzo szczegółowo opisywał ubiegłe trzy lata swego życia, wszystkie wypadki z tego okresu, swoją mękę i zwątpienia, swoją troskę z powodu milczenia jej na wszystkie jego listy, i nareszcie jeszcze raz w pełnych miłości i głębokiego szacunku słowach prosił ją o związanie swego życia z nim, który widział przed sobą, pełną szlachetnej i pożytecznej pracy drogę życiową.

List swój do narzeczonej zakończył takiemi słowami:

— W ogniu wielkiej męki zahartowałem i wykułem swoją miłość do Ciebie, Pani. Wierzę i wiem, że stając się żoną moją nie pożałujesz swego kroku. Nigdy uczucia moje, moje czyny i całe moje życie nie dadzą ci powodu do żalu do mnie. Nigdy... jeżeli w sercu twoim, Pani, przez te lata rozłąki przetrwała miłość do mnie.

List do ojca był krótki. Prosił go o rękę córki i w zwięzłych wyrazach kreślił przyszłość swoją i swojej żony, czyniąc to poważnie i szczerze.

Już z Petersburga przyszła zgoda na wydelegowanie młodego lekarza zagranicę, lecz listu z Charkowa nie było...

Kowal zchudł i zbladł, nie sypiał nocami i całemi godzinami chodził z kąta w kąt swego pokoju, trąc czoło i ściskając do bólu zimne ręce.

Wreszcie nadszedł telegram takiej treści:

„Córka moja przed dwoma laty wyszła zamąż. Mieszka zagranicą.“

Pod telegramem był podpis ojca Wandy.

Przeczytawszy telegram, lekarz usiadł przy biurku i kilka razy przeczytał te słowa, które były dla niego wyrokiem, wczytywał się w każde słowo, starając się zrozumieć i zapamiętać. Naraz wstał i wypuścił z rąk ten biały skrawek papieru, który łamał w tej chwili życie człowieka. Przycisnął ręce do piersi, w której czuł kawał lodu, i zaczął przez okno wpatrywać się w daleki horyzont, gdzie ciągnęły się miękko zaokrąglone góry, stojące tuż nad brzegiem Wołgi. Nie wiedział co się stanie, ale czuł zbliżenie się strasznej, stanowczej chwili. I nagle poczuł, jak cała krew rzuciła się mu do głowy, zdawało się, że wytryśnie mu z oczu, a nienawiść, jak nalatująca zdaleka burza, zaczęła szaleć w sercu i duszy. Płomienie

i zimne dreszcze przeszywały całą istotę, a sprawiający ból chłód ściskał za serce.

Przysłonił sobie oczy dłonią, łzy biegły mu przez palce, aż przeszły te łzy w ciężkie, wstrząsające łkania. Łkając, zaczął chwytać się za czoło i pierś, aż upadł na fotel i jął wyrzucać urwane słowa skargi, miłości, wołania... tęsknoty beznadziejnej.

Nareszcie łkania ustały. Długo chodził Kowal po pokoju w ciężkiej zadumie, wreszcie siadł i już zrezygnowany napisał znów do ojca Wandy.

Prosił, aby podziękować byłej narzeczonej, za to, że miłością ogrzała, oświeciła i uszlachetniła całe jego życie, które nie przejdzie bezbarwnem i bez treści, nie będzie życiem dla niego, Piotra Kowala, lecz — dla innych, bo kochać ludzi, świat cały, rozumieć piękno życia nauczyła go miłość do Wandy.

Wieczorem tegoż dnia doktor Kowal wyjechał na Syberję...

VIII.

Przyjechawszy do Irkucka, Kowal stawił się u generała Korfa. Ten spotkał go z wielką radością.

— Winszuje, winszuje doktorowi powodzenia! Już o wszystkiem wiem. Zagraniczna podróż! Przyszła znakomitość! Jakże się cieszę! Mam dla pana niespodziankę. Wyrobiłem za ten czas

amnestję dla pana. Jest pan teraz wolny, wolny nazawsze.

Mówiąc to stary baron serdecznie objął Kowala i przycisnął go do swojej piersi, mrucząc:

— Gdyby moi synowie byli do pana podobni! Daj to Boże!

Kowal podziękowawszy generałowi za jego dobroć, rzekł stanowczym głosem:

— Panie generale, mam do pana jeszcze jedną ostatnią prośbę. Chcę powrócić na Olchon, zagranicę nie pojadę... Niech mi pan dopomoże uczynić z Olchona miejsce ratunku dla tych, których dręczy straszliwa choroba...

Starzec odstąpił parę kroków i jął uważnie, prawie surowo wpatrywać się w zmienioną twarz młodego człowieka. Ale widać, stary generał dobrze znał ludzi, bo oczy wkrótce spuścił, a kąty ust zaczęły mu drgać od wzruszenia.

— Tak... Tak... — szepnął. — Naturalnie... pomogę... Ale żyć z temi widmami nędzy i cierpienia może tylko ten, kto...

Zamilkł i zaczął trzeć czoło.

— Kto sam ma wielkie cierpienie... — dokończył Kowal myśl sędziwego generała.

SPIS RZECZY.

